NEXTO
PL

KAROL MAY

BENITO JUAREZ

Konwersja:

DEKRET

Zanim zaczniemy śledzić dalszy ciąg losów Czarnego Gerarda i jego przyjaciół, musimy cofnąć się do października roku 1865, to bowiem, co wtedy nastąpiło, ma ścisły związek z wydarzeniami, które zostaną tu przedstawione.

W Palacio Imperial w stolicy Meksyku cesarz Maksymilian konferował z wysokimi dygnitarzami. Oparty o stół, spoglądał na wielki arkusz papieru, który trzymał w ręku. Był wyraźnie wzburzony, oczy mu błyszczały, a policzki pokryły się wypiekami. Przed nim stał jeden z ministrów i uważnie obserwował władcę. Niedaleko okna, w fotelu, siedziała piękna cesarzowa. Była przeciwieństwem męża. Maksymilian z natury miękki, marzycielski, refleksyjny, ona zaś — przedsiębiorcza realistka, dążąca za wszelką cenę do władzy i zaszczytów.

Minister przestał przed chwilą mówić, więc cesarz zapytał:

— Żąda pan natychmiastowej decyzji?

— Najjaśniejszy panie, proszę o to.

— Postanowiłem…

— Odrzucić? — wtrąciła szybko cesarzowa. Maksymilian uśmiechnął się do niej:

— A ty, najdroższa?

— Przedstawione argumenty rozwiewają wszelkie wątpliwości. Zgadzam się z nimi w zupełności.

Cesarz zwrócił się do ministra:

— Jak pan słyszał, uprzedzono mnie. Oświadczam, że nie tylko gotów jestem do podpisania dekretu, lecz napiszę go własnoręcznie i dam do asygnacji ministrom.

— Dziękuję, najjaśniejszy panie — minister skłonił się głęboko. — Obowiązkiem moim, wynikającym ze sprawowanej funkcji, jest służenie ze wszystkich sił krajowi i cesarzowi.

Jestem przekonany, że ten dekret pozwoli nam przezwyciężyć wszystkie trudności. W obecnej sytuacji to jedynie słuszne posunięcie.

— Ma pan rację, drogi panie, zajmę się… Wszedł pełniący służbę oficer i zameldował: — Generał Mejia.

— Niech wejdzie.

Cesarzowa wstała natychmiast i wyszła. Szybko pożegnawszy cesarza, również minister opuszczał pokój, gdy w drzwiach stanął generał. Przywitali się chłodnym ukłonem, nie patrząc na siebie.

— Witam pana, generale! — zawołał Maksymilian. — Przychodzi pan w dobrą porę.

Zawsze poważny Indianin uśmiechnął się serdecznie i szczerze.

— Jestem szczęśliwy, że słyszę te słowa, najjaśniejszy panie. Oby Bóg dał i krajowi więcej takich chwil!

— Wierzę, że od dziś tak będzie. — Wolno zapytać, co się stało?

— Mam zamiar wydać ważny dekret. Niech pan czyta. Podał generałowi projekt dekretu i odszedł w głąb komnaty.

W miarę czytania twarz Mejii zmieniła się nie do poznania. Nie mógł zapanować nad sobą. Gniew był silniejszy. Skończywszy, zmiął nerwowo pismo.

— Najjaśniejszy panie, kto jest autorem tej… tej nędznej ramoty? — rozgoryczony, zapomniał o dworskiej etykiecie. Ton i forma pytania dotknęły cesarza.

— Ależ, generale!

— Najjaśniejszy panie! — Mejia złożył mu niski ukłon.

— Proszę oddać mi projekt. Generał wygładził papier na tyle, na ile było to możliwe, i podał cesarzowi.

— W jakim to stanie pan mi go zwraca?! To nie są odznaki kotylionowe!

Tym razem Maksymilian rozgniewał się nie na żarty: Mejia próbował się wytłumaczyć:

— Najjaśniejszy panie, pokornie proszę o przebaczenie. Postąpiłem tak, ponieważ tylko pańskie dobro mam na

względzie.

— To chyba lekka przesada!

Na twarzy Mejii pojawił się dziwny wyraz. Maksymilian znał swego generała, wiedział, że toczy on walkę wewnętrzną.

— Jeżeli najjaśniejszy pan nie może mi przebaczyć, w takim razie wymierzę sobie największą karę — rzekł Mejia. — Czy wolno mi odejść? — podszedł do drzwi, nie czekając na odpowiedź.

— Stać!

Na rozkaz cesarza generał zatrzymał się.

— Czytał pan dekret do końca?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Nazwał go pan nędzną ramotą. Dlaczego tak pan uważa?

— Czy mogę mówić szczerze?

— Proszę.

— Gdyby najzacieklejsi wrogowie cesarstwa, pragnący jego zguby, wydali w pańskim imieniu, najjaśniejszy panie, manifest, nie użyliby innych słów nie te, które przeczytałem w dekrecie.

— Co najmniej dziwne stwierdzenie.

— Ale słuszne, najjaśniejszy panie.

— Moi poddani muszą się wreszcie przekonać, że jestem cesarzem.

— To ich nie przekona.

— Generale, to brzmi jak obraza.

— Pozwolił mi najjaśniejszy pan mówić szczerze. Meksykanie będą uważali taki dekret za dzieło Francuzów.

— Co z tego?

— Najjaśniejszy panie, zabij mnie, lecz nie ogłaszaj tego dekretu! Znam mój naród, znam Meksyk, zdaję sobie sprawę, jakie skutki to pociągnie za sobą. Na pewno wywoła w całym kraju wielkie oburzenie, a także…

— Generale! — przerwał cesarz, patrząc na Mejię gniewnie.

Ten pokornie opuścił głowę.

Maksymilian pamiętał jednak, co zawdzięcza Mejii. Po chwili więc rzekł już spokojnym głosem:

— Niech mi pan pozwoli wypowiedzieć się na temat dekretu.

— Jeżeli dekret wymaga komentarza, w takim razie….

— Chce mnie pan naprawdę rozgniewać?

— Ależ nie, już milczę.

— Niech więc pan słucha. Jak panu wiadomo, wszystkie większe miasta i porty w kraju są w naszych rękach.

— W posiadaniu Francuzów, najjaśniejszy panie.

— To przecież wszystko jedno! Francuzi są naszymi sprzymierzeńcami.

— Mam wrażenie, że już wkrótce opuszczą kraj, że miasta i porty pozostawią nie nam, a republikanom.

— Jak zwykle widzi pan wszystko w czarnych barwach. Jesteśmy panami kraju. Juarez uciekł do El Paso. Mówią nawet; że opuścił Meksyk. Nadszedł więc czas, aby ogłosić nasze stanowisko.

— Słusznie. Go to za stanowisko, najjaśniejszy panie?

— Z jednej strony wspaniałomyślnie przebaczam, z drugiej — surowo karzę, Mimo że kraj jest w mojej mocy, są tacy, którzy potajemnie knują. Należy do nich Pantera Południa, Cortejo i jeszcze kilku. Oświadczam w dekrecie, że każdego republikanina będę od dziś karać jak zwykłego bandytę i przestępcę. Od dziś republikanie wyjęci są spod prawa. Ogłaszam, że każdy republikański oddział uważać będę za szajkę zbrodniarzy, a każdy schwytany członek bandy zostanie w ciągu dwudziestu czterech godzin rozstrzelany.

Mejia zauważył chłodno:

— Bandyci? Przestępcy? Rozstrzelania? Ponawiam moją prośbę, najjaśniejszy panie. Chętnie złożę głowę na pieńku, lecz proszę, wstrzymaj swój dekret!

— Nie chcę pańskiej głowy, jak i nie chcę wstrzymywać dekretu. Doświadczeni mężowie stanu radzili nad wszystkimi jego szczegółami.

— Ci doświadczeni mężowie nie znają Meksyku. Przewidzieli wszystko prócz jednego, o czym niestety mówić mi nie wolno, ą co chciałbym powiedzieć jak najgłośniej.

— Dlaczego nie wolno?

— Bo popadnę w niełaskę.

— Niech pan mówi bez obawy, generale.

— Więc dobrze! Oświadczam, że ogłoszenie tego dekretu będzie dla ciebie, najjaśniejszy panie, wydaniem na siebie samego wyroku śmierci.

Krew odpłynęła z twarzy cesarza. Czyżby naprawdę się przestraszył? — pomyślał generał. Ochłonąwszy nieco, Maksymilian starał się zbagatelizować ostrzeżenie Mejii.

— Wyrok śmierci? Co też pan mówi? To przecież niemożliwe! To byłoby naruszeniem prawa!

— Tak jest, najjaśniejszy panie. Mam nadzieję, że przyzna pan, iż każdy Meksykanin jest prawym właścicielem swojej ziemi.

— Przyznaję!

— Musi więc mieć prawo bronienia tej ziemi przed obcą, niesprawiedliwą okupacją.

— Okupacją? Niesprawiedliwą? Czy to nie powiedziane nazbyt mocno?

— Mówię teraz tak, jakbym był republikaninem, Niech najjaśniejszy pan spróbuje postawić się w sytuacji tych ludzi! Powiadają: „Kraj należy do nas, czego więc chcą Francuzi? Chcą pieniędzy, bogactw naszej ziemi, chcą nam zabrać żony i córki. Są więc rozbójnikami. Co dają w zamian? Cesarza! Po co nam cesarz? Nie potrzebujemy go, mamy prezydenta". Napoleon boi się własnego ludu, chcąc więc odwrócić jego uwagę od swych niecnych poczynań, zaaranżował wojnę w Meksyku za pośrednictwem cesarza Maksymiliana. Spodobało się to Francuzom, myślą, że ona przyniesie im sławę. Dla zaspokojenia osobistych interesów Napoleona Meksyk ocieka krwią, cierpi męki, niszczeje.

— No, tak źle nie jest! — zaprzeczył cesarz.

— Jest, najjaśniejszy panie. Meksykanin musi być republikaninem, musi bronić kraju i własnego domu przed obcym najeźdźcą. Czy dlatego ma być uznany za bandytę, którego należy rozstrzelać w ciągu dwudziestu czterech godzin!

— Każdy Meksykanin powinien poddać się nowym prawom.

— Czy z tego wynika, że tych, którzy się nie poddadzą, należy traktować jak bandytów?

— Oczywiście, że tak.

— Przypuśćmy, że to jest słuszne. Kto jednak może przewidzieć, że pokonany nie podniesie się i nie zostanie zwycięzcą?

— Możliwość taka zawsze istnieje.

— A więc w takim razie będzie on poprzedniego zwycięzcę uważał za bandytę.

— Tego nie należy brać pod uwagę w Meksyku.

— Dałby Bóg, aby najjaśniejszy pan się nie mylił. Myślę jednak, że właśnie tutaj wszystko może się zdarzyć. Lud meksykański jest wulkanem, a Juarez…

— Nieszkodliwy

— Chociaż zaszył się w najodleglejszym zakątku kraju, ma jeszcze ogromne wpływy.

— Ułaskawię go.

— Będzie szydził z ułaskawienia. Oświadczy, że to on jako prezydent kraju ma prawo ułaskawiać niejakiego Maksymiliana Habsburga.

— Wezwę go do siebie..

— Nie stawi się.

— Czy nawet wtedy, gdy go mianuję prezydentem najwyższego trybunału?

— Był juz nim wcześniej, teraz jest prezydentem kraju.

— Generale! Teraz obraża mnie pan naprawdę.

— Juz milczę. Chciałbym tylko jeszcze zapytać: kiedy dekret będzie podpisany?

— Jutro.

— Najjaśniejszy panie, błagam, nie czyń tego!

— To już postanowione i tak się tez stanie, generale. Mejia ukląkł przed cesarzem.

— Najjaśniejszy panie! Z chwilą podpisania traktatu będzie na ciebie czekać śmierć pod murami twierdzy, w miejscu, w którym się klęczy z przepaską na oczach. Nie opuszczę cię, najjaśniejszy panie. Dzień twojej śmierci będzie i moim

ostatnim dniem. Błagam nie ze względu na siebie ani na nikogo innego, tylko ze względu na ciebie, mój cesarzu: nie czyń tego!

— Niech pan wstanie, generale!

— Nie wstanę, dopóki…

— Rozkazuję, by pan wstał! Zbyteczne to przedstawienie. Nie zmienię decyzji!

Ton głosu cesarza był chłodny, niemal ironiczny. Generał wstał z klęczek, popatrzył ze smutkiem na Maksymiliana i zawołał:

— A więc nie mogę mieć żadnej nadziei?!

— Żadnej. Nawet cesarzowa jest tego samego zdania co ja.

Mejia zbladł.

— Pozostaje mi więc tylko milczeć. Aby jednak godzina ta i słowa moje nie zostały zapomniane, przypieczętuję je.

Wyciągnął sztylet i rzucił w kierunku ściany z taką siłą, że broń wbiła się aż po rękojeść. Potem skłonił się i wyszedł.

Maksymilian przyglądał się przez chwilę miejscu, w którym utkwił sztylet, i rzekł do siebie:

— Czy to zły znak? A może to on ma rację, a ja się mylę? Nie miał jednak czasu zastanowić się nad tym, bo zameldował się generał Miramon. Po krótkiej rozmowie utwierdził on cesarza w przekonaniu, ze podjął słuszną decyzję. Trzeba dodać, że Miramon nie był ani prawym obywatelem, ani lojalnym podwładnym; zasady moralne były mu obce.

Dekret został ogłoszony. Maksymilian podpisał go własnoręcznie, wydając na siebie wyrok śmierci.

Basaine domagał się ścisłego przestrzegania prawa. Rozstrzelano więc setki republikanów, nie darowano nawet generałom. Zostali straceni generałowie Salazar i Arteaga, nieustraszeni męczennicy za niepodległość kraju.

Nemezis, działająca zwykle bardzo opieszale, zemściła się tym razem szybko.

Przez równinę ciągnącą się między San Jose opodal wzgórza Parral a Chihuahua jechał oddział jeźdźców, złożony z dwóch szwadronów szwoleżerów francuskich. Odbył widać długą podróż, bo konie wyglądały na zmęczone, a jeźdźcy na

wyczerpanych. Gdy jednak w oddali ukazały się zabudowania Chihuahua, wszyscy jak gdyby zapomnieli o zmęczeniu, ruszyli raźniej i szybciej.

Oddziałowi przewodził oficer w średnim wieku, z twarzą pooraną bliznami. Nosił oznaki pułkownika. Dotarłszy do pierwszej ulicy miasta, zatrzymał konie, by zapytać o główną kwaterę. Wysłał naprzód gońca, a sam ze swymi ludźmi jechał przez miasto przy dźwiękach orkiestry, grającej skocznego marsza. W niektórych oknach pojawiły się kobiety, znikły jednak prędko zobaczywszy, że to Francuzi.

Główna kwatera mieściła się w tym samym gmachu, z którego uciekł niegdyś Czarny Gerard. Na spotkanie przybyłych wyszedł komendant.

Szwadrony sprezentowały broń, a ich dowódca zameldował:

— Camarade, mam zaszczyt przedstawić się. Jestem pułkownik Laramel. Jadę do Villa del Fuerte, wiozę rozkazy z głównej komendy.

— Witam pana. Zostanie pan u nas dłużej?

— Z pana przyzwoleniem dwa, może trzy dni. Gdzie mogę ulokować swoich ludzi?

— W mieście stoi tylko jeden szwadron. Sporo wolnych mieszkań jest do pańskiej dyspozycji.

— Świetnie. Pozwoli pan, że przedstawię moich oficerów?

— Proszę.

Żołnierze pozsiadali z koni i udali się do wyznaczonych kwater. Komendant zaprosił oficerów na szklankę wina. Siedzili teraz wszyscy w tej samej sali, z której uciekł Gerard.

Pułkownik Laramel zapytał:

— Panie kolego, dlaczego w mieście jest tak mało wojska? Przecież to jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc w kraju.

— Ma pan rację, muszę jednak słuchać rozkazów, choć nie zawsze bywają słuszne.

— Miał pan jakieś kłopoty?

— Właściwie nie. Dyscyplinę wśród ludzi utrzymuję bez trudności, ale jest tu pewien szpieg, który musi mieć chyba konszachty z samym diabłem. To niezwykle śmiały i przebiegły

człowiek. Staraliśmy się go schwytać, niestety nie udało się. Jest wszędzie i nigdzie, wie o wszystkim. Mam wrażenie, że to człowiek wszechwiedzący i wszechobecny.

Pułkownik Laramel potrząsnął z niedowierzaniem głową:

— To brzmi bardzo nieprawdopodobnie, camarade. Człowiek jest tylko człowiekiem, choćby natura wyposażyła go w wiele zalet/Schwytanie szpiega nie jest, moim zdaniem, niemożliwe.

— Ma pan rację, ale nie zna pan Czarnego Gerarda.

— *A* więc to Czarny Gerard? Macie w takim razie nie byle jakiego przeciwnika. Słyszałem o nim dużo, imię to często wymieniano nawet w kwaterze głównej. A więc grasuje teraz w okolicach Chihuahua?

— I to od dłuższego czasu. Wiemy dokładnie, że ma w mieście zaufanych ludzi i bywa u nich.

— Skąd panu o tym wiadomo?

— Od niego samego.

— Niemożliwe! Niechże pan szybko opowiada!

— Był tutaj, w tym pokoju, jako nasz jeniec.

— A więc schwytaliście go?! Za głowę jego wyznaczono nagrodę.

— Wiem, nawet bardzo dużą.

— W takim razie otrzyma ją pan. Komendant powiedział z zakłopotaniem:

— Prawie na nią zasłużyłem.

— Prawie? Mówił pan przecież, że był waszym jeńcem.

— Owszem, wzięliśmy go do niewoli, związanego przesłuchiwałem w tym pokoju w obecności wielu oficerów i pań. Zachowywał się bardzo butnie. W pewnym momencie uwolnił się z więzów. Powalił mnie na ziemię na oczach zebranych i wyskoczył przez okno.

— Do pioruna! Uciekł?

— Niestety, ci myśliwi prerii to istne diabły. Wyzywają niebezpieczeństwo, igrają ze śmiercią! Wysłałem pod Guadalupe oddział ludzi. Dlatego też można było bez kłopotu zakwaterować pańskich ludzi. A chociaż wybrałem

najsprawniejszych żołnierzy i najdzielniejszych oficerów, zdaję sobie sprawę, że zdobycie fortu będzie kosztowało wiele ofiar.

— Czy Guadalupe ma aż tak potężne obwarowania?

— Nie. Ale Czarny Gerard zdobył informacje o naszych planach. Należy się liczyć z tym, że na czele jakiegoś oddziału Apaczów napadnie na naszych żołnierzy. Gdyby nie seniorita Emilia, musielibyśmy już dawno opuścić Chihuahua.

— Seniorita Emilia? — zainteresował się Laramel.

— Nie zna pan naszego najlepszego szpiega?

— Nie.

— W takim razie nie zna pan również najpiękniejszej kobiety Meksyku.

— Do licha! Monsieur, powiedział pan, że to najpiękniejsza kobieta Meksyku? Będę ją mógł zobaczyć, kiedy?

Pułkownik Laramel był jednym z najbardziej bezwzględnych i okrutnych oficerów armii francuskiej. Ani on, ani nikt z jego oddziału nie miał litości dla wrogów. Zamordował wielu Meksykanów, którzy wpadli w jego ręce, z życiem ludzkim nie liczył się zupełnie. Dlatego też wysłano go do Villa del Fuerte, gdzie miał wprowadzić w życie dekret Maksymiliana. Ponadto był znanym uwodzicielem. Zaintrygowało więc go bardzo, kiedy usłyszał, że w miasteczku mieszka kobieta uważana za najpiękniejszą w Meksyku.

— To zależy wyłącznie od pana, camarade — odparł komendant. — Wydaję dziś wieczorem przyjęcie z okazji przybycia panów. Zaproszę kilkanaście osób, między innymi senioritę Emilię.

— Dziękuję panu. Chciałbym, wróciwszy do ojczyzny, pochwalić się, że widziałem najpiękniejszą Meksykankę. Skąd pochodzi?

— Zdaje się, że z Francji.

— Co za zbieg okoliczności!

— Właściwie dokładnie nie wiadomo. Jedni zapewniają, że jest Meksykanką, inni twierdzą, że to Włoszka, Hiszpanka lub Francuzka. Ona zaś wcale nie stara się rozwiać tej tajemnicy. Może robi to rozmyślnie, z kokieterii.

— A jakiego pan jest zdania?

— Sądzę, że to Francuzka, włada bowiem naszym językiem jak rodowita paryżanka, a przede wszystkim prowadzi nasze sprawy bardzo gorliwie.

— Meksykanka tak by nie postępowała. Wszystkie one sympatyzują z republikanami.

— Ona przeciwnie. Chociaż nie darzę kobiet zbyt wielkim zaufaniem, muszę stwierdzić, że na nią można liczyć. Nieraz tego dowiodła.

— Trzeba przyznać, że ładna i sprytna kobieta szpieg może być znacznie bardziej przydatna niż szpieg mężczyzna. Wracając jednak do Czarnego Gerarda, czy wydane zostały odpowiednie zarządzenia?

— Zrobiłem, co uważałem za słuszne. Kilkudziesięciu mieszkańców miasta, sprzyjających republice, jest w moich rękach.

— W charakterze zakładników?

— Tak. Wywołało to oburzenie mieszkańców.

— Niech się pan tym nie przejmuje! Co zamierza monsieur zrobić z tymi zakładnikami?

— Najlepiej byłoby ich rozstrzelać. Ale...

— Dlaczego pan się waha?

— Z dwóch przyczyn. Mogłoby to spowodować bunt, którego opanować nie byłbym wstanie. Jak panu wiadomo, w mieście kwateruje niewielka liczba żołnierzy.

— Pomogę panu.

— Ale przecież musi pan ruszać dalej?

— Moje pełnomocnictwa pozwalają mi pozostać tutaj, dopóki ład i porządek nie zostaną zaprowadzone, a pańscy ludzie nie wrócą z Guadalupe.'

— Z góry dziękuję! Nie wymieniłem jednak jeszcze drugiej przyczyny, która mnie wstrzymuje od podjęcia zbyt drastycznych kroków. Jest nią niepewność, czy mam prawo skazywać tyle ludzi na śmierć. Boję się odpowiedzialności.

— Co do tego może pan być zupełnie spokojny. Ma pan nie tylko prawo, lecz bezwzględny obowiązek stracenia wszystkich

republikanów. W dekrecie z trzeciego października ubiegłego roku cesarz Maksymilian wyraźnie rozkazuje uważać każdego republikanina, od księcia do żebraka, za bandytę i rozstrzeliwać na miejscu.

— Znam ten rozkaz, sądziłem jednak, że nie należy go stosować zbyt gorliwie. Myślałem, iż wydano go raczej po to, aby zastraszyć przeciwników.

— Myli się pan, cher camarade. Główna komenda poleciła mi wręczyć panu odnośne rozkazy. Niech pan czyta! — pułkownik wyciągnął z kieszeni munduru wielką, kilkakrotnie opieczętowaną kopertę i wręczył ją komendantowi.

Komendant czytał z uwagą i przejęciem. Skończywszy, rzekł:

— Teraz już nie mam żadnych wątpliwości. Kamień spadł mi z serca.

— Co więc pan teraz zrobi?

— Spełnię swój obowiązek. Każę rozstrzelać zakładników.

— Kiedy?

— Czy radzi mi pan przeprowadzić egzekucję jak najszybciej?

— Oczywiście. Zapewne słyszał pan, że nie zlitowałem się dotychczas nad żadnym Meksykaninem. Nie czuję do nich nienawiści lecz pogardzam nimi. Moim zdaniem, nie powinni mieć własnego państwa. Sprawi mi pan przyjemność, jeżeli będę mógł być świadkiem egzekucji.

— Spełnię pana prośbę.

— Kiedy? Może już jutro?

— Trzeba przecież najpierw zwołać sąd i wydać wyrok.

— To zbyteczne, kolego. Ta banda nie zasługuje na to.

— Ma pan rację, a zresztą pełnomocnictwa, które mi pan przywiózł, wyraźnie mówią, iż mogę postępować według własnego uznania. Bandytów należy rozstrzeliwać bez sądu.

— A więc jutro.

— Nie. Trzeba im pozostawić nieco czasu, aby się mogli pojednać z Bogiem. Meksykanie są bardzo religijni, wiadomość, że ludzie ci umarli bez sakramentów, rozjątrzyłaby ich bardziej od samej egzekucji.

— Zgoda. Sądzę, że jeden dzień na to wystarczy. A więc pojutrze.

— Tak, i to wczesnym rankiem. Najlepiej przed nastaniem dnia, aby wszystko odbyło się w zupełnej tajemnicy. Nikt nie powinien znać godziny egzekucji, z wyjątkiem spowiednika i paru zaufanych osób.

Podczas gdy oddział pułkownika Laramela wkraczał do Chihuahua od południa, od północy zbliżał się tam jakiś jeździec. Jechał na wymizerowanym koniu. Sam również, niepozorny i szczupły, nie wyglądał na znawcę prerii, chociaż już na pierwszy rzut oka można było poznać, że to myśliwy. Rozglądając się dookoła, zataczał łuk wokół miasta. Sprawiało to wrażenie, że nie ma zamiaru wjeżdżać do niego, chce tylko rozpoznać sytuację.

Był to Mały Andre, czyli Andreas Straubenberger, wysłany przez Juareza na zwiady. W pewnej chwili osadził konia w miejscu i spojrzał w kierunku wieży katedralnej.

— Do licha! — mruknął. — Włóczę się tu od kilku dni, chcę zasięgnąć języka w sprawach, które interesują Juareza, a nie mogę nikogo spotkać. Chyba Francuzi zabronili mieszkańcom wychodzić na miasto. Juarez ma tu dziś przybyć. Co mu powiem? Nic nie wiem.

Co za kompromitacja! A może wjechać do miasta? Nie, to byłoby szaleństwo. Gdyby ci messieurs wzięli mnie za szpiega, to koniec ze mną.

Gdy tak mruczał pod nosem, koń zarżał.

— Co to? Jesteś innego zdania? Hm, może masz rację. Wałęsając się tu nadal, nie dowiem się niczego, muszę więc dostać się do środka. Zresztą — z dumą podniósł głowę — jestem przecież Małym Andre i mam broń przy sobie. Chciałbym pogadać z tą, senioritą Emilią. No, zobaczymy. W drogę!

W porównaniu z tym, co uczynił kiedyś Czarny Gerard, wślizgując się do Chihuahua pod osłoną nocy i mgły, krok Małego Andre nie był ekstra wyczynem. Francuzi znali Gerarda jako swego wroga, Basaine wyznaczył za jego głowę nagrodę w

wysokości pięciu tysięcy franków. O Małym Andre natomiast co najwyżej słyszeli, i to jedynie jako o myśliwym. Gdyby nawet mieli podejrzenie, że jest szpiegiem prezydenta Juareza, nie znaleźliby na to dowodów. Życiu więc jego nie groziło niebezpieczeństwo.

Na pierwszej ulicy, przy której stał dawniej posterunek, nie było warty. Komendant kazał ją odwołać, bo bezpiecznie czuł się w murach Chihuahua. Mały Andre wjechał więc do miasta bez przeszkód. Na następnej ulicy skręcił w bok. W małym, cichym zaułku ujrzał szeroko otwartą bramę niewielkiej venty. Wjechał więc tam i zsiadł z konia. Uwagę jego zwrócił wysoki, obszerny budynek, wznoszący się naprzeciwko oberży. Na balkonie siedziała jakaś kobieta. Widać obawiała się upału i promieni słońca, bo osłoniła twarz welonem. Gdyby mógł ją ujrzeć, zauważyłby zapewne, że patrzy na niego z pewnym zainteresowaniem. Gdy znikł za bramą, weszła do pokoju i zadzwoniła. Po chwili zjawiła się służąca.

— Chcę porozmawiać z oberżystą, ale tak, aby nikt o tym nie wiedział.

Po chwili do venty udał się stary, siwy Meksykanin. Spotkał gospodarza w podwórzu.

— Kogo pan szuka, senior?

— Właśnie pana. Seniorita prosi, aby pan do niej przyszedł.

— Urządza z pewnością przyjęcie i chce zamówić u mnie kolację.

— Nie. Kazała powiedzieć, że pragnie z panem w tajemnicy zamienić parę słów.

Oberżysta zbliżył się do starca i zapytał szeptem:

— Są jakieś wieści od Juareza?

— Nic nie wiem.

— Może ja się dowiem. Niech pan powie senioricie, że przyjdę.

Stary skinął głową i oddalił się. Gospodarz wszedł do venty, w której siedział tylko Mały Andre.

— Dzień dobry, senior — powiedział.

Traper obrzucił go szybkim, badawczym spojrzeniem i odparł łamaną hiszpańszczyzną:

— Dzień dobry, senior. Co ma pan do picia?

— Wszystko, czego pan zażąda.

— Doskonale. Jest piwo?

— Nie.

— Wino.

— Nie.

— Kawa?

— Nie.

— Czekolada?

— Nie. Z rana była, ale goście już wypili.

— Może lemoniada?

— Niestety, brak mi cukru.

— A może julep?

— Niestety, również nie ma.

— Do licha! Zapewniał pan przed chwilą, że mogę dostać wszystko, czego tylko dusza zapragnie. Tymczasem nic nie ma.

— To pańska wina, senior. Dlaczego dusza pańska pragnie rzeczy, których dać nie mogę?

Mały Andre roześmiał się i rzekł:

— Powiedz mi, co mogę dostać.

— Służę szklanką pulque.

— Dobrze. Lepszy rydz, niż nic.

Gospodarz napełnił szklankę. Ledwie myśliwy skosztował, wykrzywił straszliwie twarz, jak gdyby połknął ogień i zaklął:

— Diabelski trunek!

— Chce pan może powiedzieć, że nie smakuje? — dopytywał się gospodarz.

Mały Andre był ostrożny.

— Doskonały napój, ale dla Meksykanów.

— A dla pana?

— Nie jestem przyzwyczajony do trunków tego rodzaju.

— Nie jest pan Meksykaninem?

— Nie. Nie poznał senior tego po wymowie?

— Owszem, można się jednak mylić. Czy wolno zapytać, kim pan jest?

— Myśliwym.

— Domyślałem się tego. Ale jakim? Na co senior poluje: na bawoły, węże?…

— Zapomniałem przez chwilę, że jestem w Meksyku.

U nas myśliwy strzela do wszystkiego, co mu się nawinie pod rękę.

— Pochodzi pan z Północy?

— Tak.

— Jest pan Jankesem?

— Nie.

— Kanadyjczykiem?

— Także nie.

— Kimże więc, jeżeli przybywa pan z Północy?

— Czy tylko Jankesi i Kanadyjczycy włóczą się po skałach? Jestem Europejczykiem, Niemcem.

— Niemcem? A więc stronnikiem naszego poczciwego cesarza Maksymiliana?

Mały Andre spojrzał groźnie na pociągłą twarz Meksykanina i powiedział:

— Nie baw się, senior, moim kosztem! Wiem doskonale, że między sobą zupełnie inaczej nazywacie tego poczciwego cesarza Maksymiliana.

— O, Dios! Nie wierz temu! Myśmy tutaj wszyscy przychylnie usposobieni do cesarza.

— A więc i do Francuzów?

— No tak, mniej więcej, im bowiem zawdzięczamy, że mamy dobrego monarchę.

— To mnie bardzo cieszy, senior. Spodziewam się, że będziecie się starali odwdzięczyć Francuzom za to dobrodziejstwo.

— Oczywiście! Jesteśmy im wdzięczni z całego serca.

— Wie senior, jak okazać swą wdzięczność? Niech pan przygotuje kilkadziesiąt beczek tej pulque, jaką mi podałeś, i ofiaruje Francuzom.

— To się nie uda. Oni piją tylko wino.

— A dostają wino?

— Owszem. Jeżeli go nie chcemy dać, zabierają sami.

— To znaczy, że biorą siłą?

— Tego nie powiedziałem.

— Ach, tak? Więc cesarz Maksymilian jest taki dobry, taki łaskawy, że zmusza was do liczenia się ze słowami.

— Na miłość boską, senior, ciszej! — błagał gospodarz.

— Trzeba również mówić cicho?

— Drogi panie, nie mam zwyczaju wrzeszczeć.

— Właśnie potrzeba mi ludzi tego rodzaju. A więc jest senior przyjacielem Francuzów?

— Hm, to niebezpieczny temat. Nie można zaprzeczyć, że zdarzają się wśród Francuzów bardzo uczciwi ludzie, do których usposobiony jestem przychylnie. Resztę jednak niech diabli porwą! Czy nie mam racji? Wystarczy, pomyśleć tylko o tych tysiącach, które zginęły, o dzielnych mężach, którzy gniją w więzieniach. Dopiero przed kilku dniami tutejszy komendant wziął trzydziestu kilku zakładników i zamknął ich pod kluczem.

— Z jakiego powodu?

— Ponieważ jeden z członków tajnego stowarzyszenia, do którego należą, oświadczył publicznie, że jako naród potrafilibyśmy rządzić się sami i że byłoby znacznie lepiej pracować dla siebie zamiast dla innych.

— Co się stanie z tymi zakładnikami?

— Nie wiem, wszyscy czekamy z wielkim niepokojem. Całą nadzieję pokładamy w… w…

Gospodarz ugryzł się w język.

— W czymże lub w kimże ta nadzieja? — W Juarezie.

Nazwisko to wymówił szeptem. Myśliwy ledwie je dosłyszał.

— W Jaurezie? Dlaczego właśnie w nim?

— To przecież nasz prezydent. Wybraliśmy go, było nam dobrze pod jego rządami.

— Przecież uciekł.

— Uciekł, aby całego Meksyku nie pogrążyć we krwi.

— Naprawdę? Czy nie przeleje morza krwi, gdy wróci?

— Tak. Ale najeźdźcy nie znają naszego kraju. Zawładniemy nim prędzej, niż wróg go zawojował. Gdy Francuzi tu przyszli, nie mieliśmy wojska ani żadnej pomocy. Teraz położenie nasze jest inne. Pomagają nam Stany Zjednoczone, w różnych państwach Europy rozlegają się w obronie Meksyku głosy, z którymi Napoleon musi się liczyć. Juarez czeka tylko na odpowiednią chwilę. Gdy ruszy, będzie to niezbitym dowodem, że chwila ta nadeszła.

— Gdzie obecnie przebywa?

— Podobno w Paso del Norte.

— Czy nie ma wieści, że opuścił kraj?

— Owszem, ludzie mówią o tym, ale nie wierzymy. Jesteśmy pewni, że swego narodu w żadnym wypadku nie opuści. Jeżeli go nie ma w Paso del Norte, znajduje się gdzieś, gdzie obecność jego jest dla naszego dobra konieczna. Zresztą, jeśli idzie o nas, mieszkańców Chihuahua, przez jakiś czas Francuzi pozwolili nam odetchnąć. Kilkuset żołnierzy wyruszyło w pole. Dokąd, niewiadome

— Ilu pozostało?

— Jedna kompania.

— Do licha! Gdyby o tym Juarez wiedział! — zawołał ‚Mały Andre.

— Ciszej, senior, ciszej! Sam bym mu zakomunikował tę wiadomość, gdybym wiedział, gdzie go szukać. Takich jak ja są tu setki.

— Może dowie się o tym.

Słowa te wypowiedział tak poważnie i z namysłem, że zastanowiły gospodarza. Ujął więc rękę myśliwego i schyliwszy się nad nim, wyszeptał:

— Senior, wie pan dokładnie, gdzie Juarez się znajduje, prawda? Wysłał pana na zwiady do Chihuahua?

— Nie zaprzątaj sobie tym głowy, senior.

— A dlaczego nie? Wygląda mi senior na człowieka godnego zaufania.

— Phi! Juarez potrzebuje zupełnie innych ludzi. Jego sprawy nie interesują mnie wcale.

— Przykro mi, że mi pan nie ufa. Jak długo zamierza senior pozostać w Chihuahua?

— Prawdopodobnie do wieczora.

— Nie przenocuje pan tutaj?

— Nie. Kupię tylko trochę amunicji i ruszam w dalszą drogę.

— A więc istotnie się pomyliłem. Zamierzałem już zaproponować panu pokoik, w którym mógłbyś podsłuchać, o czym rozmawiają Francuzi. Ale trudno.

— Dziękuję, master, nie jestem szpiegiem. Gdybym nim był, chętnie przyjąłbym pańską propozycję.

— Hm, hm, człowiek się czasem myli. Czy nie wypiłby pan drugiej szklaneczki pulque?

— Nie. Nie skończyłem jeszcze pierwszej.

— Pytałem tylko z grzeczności. I tak nie mógłbym pana obsłużyć, ponieważ muszę wyjść.

— Idź, senior, w imię Boga. Mogę zapewnić, że do czasu pańskiego powrotu nie opróżnię tej szklanki, choćbyś wrócił dopiero sądnego dnia.

Gospodarz wyszedł. Oglądając się na wszystkie strony, przebiegł przez ulicę i wszedł do bramy wielkiego domu. Oczekiwał go stary dozorca.

— Idź na górę, senior! Służąca czeka w przedpokoju.

Zaprowadziła oberżystę do tego samego pokoju, w którym niegdyś Czarny Gerard rozmawiał z piękną sojuszniczką Juareza — Emilią.

— Wybacz, senior, że cię niepokoiłam — powitała Emilia gospodarza.

— Ależ seniorita, jestem zawsze do pani usług.

— Niedawno przybył do pana jakiś nowy gość. Czy to Meksykanin?

— Nie, seniorita. To myśliwy z Północy.

— A więc Jankes?

— Nie, Niemiec.

— Wymienił swoje imię?

— Nie. Nie pytałem nawet o nie.

— Jak długo chce zostać?

— Tylko do wieczora.

Posmutniała. Gospodarz łypnął porozumiewawczo okiem i spytał:

— Sądzi pani, seniorita, że jest to jeden z naszych?

— Byłam tego pewna.

— Pomyliła się pani. Wypytywałem go dokładnie, ale nic z niego nie wydobyłem. Albo jest małomówny, albo nam nieprzychylny.

— Mimo to chciałabym się upewnić. Zapytaj go, czy jest Małym Andre.

— Mały Andre? Kim jest ten człowiek?

— To wysłannik Juareza.

— Że mój gość też jest mały, to fakt.

— Parę innych szczegółów również zgadza się z opisem osoby Małego Andre. Tego tu widziałam przez chwilę, gdy wchodził do venty, dlatego posłałam po pana. Jeżeli to on, natychmiast przyślij go do mnie.

— Jestem do usług. Adios, seniorita!

Oberżysta wyszedł. Na ulicy natknął się na sporą gromadę żołnierzy francuskich. Rozchodzili się po kwaterach. Przed gospodą zatrzymał się jakiś podoficer.

— Czy to venta seniora Montario? — zapytał po hiszpańsku.

— Tak, jestem gospodarzem.

— Kwaterunek!

— Na jak długo?

— Kto to może wiedzieć? — Ilu ludzi?

— Wystarczy na podbicie całej prowincji. Dowódcą jest pułkownik Laramel.

Gospodarz ściągnął brwi i rzekł:

— Znam go. Słyszałem, że to… odważny człowiek.

— Odważny? Każdy Francuz jest taki. Wskaż mi kwaterę, senior.

— Proszę do izby gościnnej.

— Nie znajdzie się dla mnie osobny pokój?

— Owszem, znajdzie się, proszę jednak chwilowo zaczekać tutaj.

Dzwoniąc ostrogami Francuz wszedł do gospody. Obejrzał wnętrze i pogardliwym wzrokiem obrzucił małego myśliwego. Gdy się usadowił na krześle, gospodarz postawił przed nim szklankę pulque. Podoficer skosztował, wypluł i cisnął szklankę o ziemię.

— Fi donc! — zawołał. — Co to za świństwo? Wina!

— Nie mam wina.

— Przynieś! — rozkazał Francuz.

— Przyniosę, ale musi mi pan przedtem odpowiedzieć na jedno pytanie: czy wino to pić będzie jako kwaterujący czy też jako gość?

— Do licha! Uważa senior, że mam płacić za wino?

— Tak.

— Nie wiesz, że mi się należy utrzymanie?

— Wiem. Ale wiem równie dobrze, że wino do utrzymania nie należy.

— Żądam wina!

— Dostarczę, jeżeli pan zapłaci. Dziś wino u nas drogie.

— Bordo i moselskie kosztują niewiele.

— Flaszka bordo piętnaście pesetów, czyli siedemdziesiąt pięć franków, moselskiego zaś wcale nie ma.

— Wskaż mi pokój! Nie chciałbym być w twojej skórze, jeśli nie otrzymam wina.

— Pański pokój na piętrze. Służący jest właśnie na górze, zaprowadzi, pana. Gdy jedzenie będzie gotowe, zawołam. Czy ma pan siedemdziesiąt pięć franków na wino?

— Tyle się znajdzie.

Po tych słowach podoficer zniknął za drzwiami. Twarz gospodarza wykrzywił grymas.

— Z tym sprawa załatwiona.

— Jeszcze nie — zauważył traper. — Jestem przekonany, że niebawem nastąpi finał.

— Będę go oczekiwał z całym spokojem. Powiedz mi senior, jak się nazywasz.

— Andreas Straubenberger.

— An—dre—asStrrrr—rau… Niech diabli porwą te niemieckie nazwiska! Kto to potrafi wymówić? Prościej byłoby wymówić Andre.

— Nazywają mnie tak czasami. Andre i Andreas to to samo.

— Może jesteś Małym Andre? Myśliwy zdumiał się:

— Do licha, skąd pan zna to moje przezwisko?

— A więc jesteś naprawdę Małym Andre!? W takim razie skłamał senior, gdy pytałem, czy jesteś zwolennikiem Juareza.

— Co też panu strzeliło do głowy! Ani mnie ziębi, ani parzy wasz prezydent!

— Może pan mówić ze mną otwarcie. Jestem gorącym patriotą, kocham Juareza. Miał pan tego dowód przed chwilą. Widział senior przecież, jak traktowałem tego Francuza. Dam jeszcze lepszy dowód. Czy słyszał pan kiedyś o senioricie Emilii?

— Seniorita Emilia? Dużo jest kobiet o tym imieniu…

— Powiedz pan, znasz ją czy nie?

— Słyszałem o niej.

— Nie widział jej pan nigdy? W takim razie, senior Andre, zobaczy ją pan zaraz.

— Gdzie?

— W jej mieszkaniu. Prosi, aby pan do niej przyszedł. — Kiedy przejeżdżałem ulicą, jakaś kobieta była na balkonie tego wielkiego domu naprzeciw. Czy seniorita Emilia tam mieszka? Skąd mnie zna?

— Nie wiem. Zrób mi tę łaskę i pójdź do niej natychmiast. W sieni spotka pan dozorcę, który wskaże panu jej mieszkanie. Może zostawi pan tu swoją broń?

— Ani mi to w głowie. Westman nigdy nie rozstaje się z bronią — zarzucił strzelbę na ramię i wyszedł.

W domu naprzeciw dozorca skierował go na górę. Otworzyła mu służąca i zaprowadziła do Emilii. Ujrzawszy ją. Mały Andre zawołał:

— Do licha! Jest pani naprawdę diablo piękna!

— Naprawdę? — uśmiechnęła się.

— Tak pięknej kobiety jeszcze nigdy w życiu nie widziałem! Przysięgam na Boga.

— Schlebia mi pochwała znakomitego myśliwego. Przysłał pana gospodarz venty?

— Tak. Skąd mnie pani zna, seniorita?

— Zaraz się pan dowie. Proszę jednak najpierw usiąść. Chciał usiąść na krześle stojącym obok drzwi, lecz Emilia zawołała:

— Nie, nie tam! Niech pan usiądzie obok mnie na kanapie.

— Jakże mogę w skórzanych spodniach usiąść na jedwabiach?

— Przekona się pan, ze jedwab i skóra mogą być z sobą w przykładnej zgodzie.

Przykucnął na brzegu kanapy.

— Ależ nie tak, nie tak! — usadowiła go głęboko w miękkim siedzeniu.

— Do licha! — zerwał się na równe nogi. — Człowiek zapada się jak w wodzie. Musiałbym się na tej kanapie nauczyć pływać.

— Nie bój się, człowieku, nie utoniesz — roześmiała się. — Ale gdy juz mowa o wodzie, może się pan czegoś napije?

— Hm. Zapewne chce mnie pani poczęstować dzbanem pulque…

— Co tez panu przyszło do głowy?

— Naprzeciw, w gospodzie, stoi jeszcze na moim stole pełna szklanka.

— Nie smakowało panu?

— Oj, jak smakowało! Mieszanina ałunu, aloesu, salmiaku, witriolu i wody z mydłem miałaby podobny smak.

Śmiejąc się serdecznie z tego porównania, zapytała:

— Lubi pan wino?

— Bardzo, seniorita. Ale myśliwy tak rzadko ma okazję do picia wina, że zapomina niemal o jego istnieniu.

— W takim razie wypijemy butelkę…

— Na miłość boską! — przerwał. — Przecież butelka kosztuje siedemdziesiąt pięć franków.

— To prawda. Nie zapłaciłam jednak za nie. To podarunek.

— Ze względu na mnie nie powinna pani otwierać ani jednej butelki. Nie zasługuję na to.

— Jakże nie? Jako zwolennik Juareza jest pan moim przyjacielem. Dla przyjaciół zaś mam zawsze w domu dobre wino.

— W takim razie chętnie wypiję.

Zadzwoniła, służący przyniósł butelkę wspaniałego tokaju. Napełniła kieliszki, myśliwy zaczął powoli smakować.

— No jakże?

— Smakuje o wiele lepiej niż u nas w Palatynacie.

— Słyszałam, że tu zostaje pan tylko do wieczora. Czy to prawda?

— Tak. Jestem tu w zastępstwie Czarnego Gerarda, który musiał pojechać do Guadalupe, aby objąć dowództwo twierdzy.

— Co z fortem?

— Nie mam pojęcia. Jestem jednak przekonany, że Francuzi zostali pobici. Nie spodziewali się, że fort będzie się bronił, że zjawią się tam Juarez i Apacze. Ponadto są w forcie ludzie tak dzielni i doświadczeni w sztuce wojennej, że każdy z nich poradzi sobie z dziesięcioma francuskimi żołnierzami.

— To z pewnością biali? Opowiedział Emilii o spotkaniu ze Sternauem i jego towarzyszami.

— Myślę, że pozna ich pani wkrótce. Juarez powinien przybyć tu jutro lub najpóźniej pojutrze.

— Tak prędko? Czy już ustalono miejsce spotkania?

— Oczywiście. Mam czekać na niego w miejscu odległym o dwie godziny drogi od rzeki.

— Bardzo się cieszę, że przyjeżdża. Czy słyszał pan, iż komendant uwięził kilkudziesięciu obywateli miasta jako zakładników?

— Opowiadał mi o tyrrvoberżysta.

— Ludzi tych może spotkać jak najgorszy los.

— Nie sądzi pani chyba, że zostaną zgładzeni? Przecież bez sądu i bez wyroku nie mogą zginąć.

— Kto z najeźdźców przestrzegał w Meksyku prawa i sprawiedliwości? Spodziewam się, niestety, kochany Andre…

Przerwała rozpoczęte zdanie, weszła bowiem służąca i podała jej kopertę. Emilia szybko przebiegła wzrokiem bilecik:

Droga seniorito!

Na powitanie przybyłych przed chwilą kolegów z pułkownikiem Laramelem na czele mam zamiar urządzić dziś wspaniałą tertulię. Ponieważ pozwoliłem sobie zaprosić na to przyjęcie największe gwiazdy naszego kobiecego firmamentu, mam nadzieję, że pani, jako słońce tego nieboskłonu, nie odmówi swego przybycia. Pułkownik Laramel bardzo chciałby osobiście panią poznać.

Komendant.

Uśmiechnęła się lekceważąco i zapytała Małego Andre:

— Umie pan czytać po francusku?

— Od biedy. Urodziłem się i mieszkałem opodal francuskiej granicy, język francuski nie jest mi obcy.

— Czytaj więc, senior — rzekła, podając mu kartkę.

— Oczywiście, pójdę na tertulię. Może dowiem się tam czegoś, co przyda się prezydentowi.

— Kiedy pani wróci?

— O północy. Wtedy będzie pan mógł opuścić miasto.

— Dobrze, seniorita.

— Gdyby przedtem zaszło coś ważnego, dam panu znać. W każdym razie czekam na pana o północy. Do widzenia, senior.

— Do widzenia, seniorita — ujął rękę Emilii i pocałował.

W gościnnej izbie venty Mały Andre zastał gospodarza samego. Ten poprosił go, by usiadł i zapytał:

— Mówił pan z nią?

Myśliwy skinął twierdząco głową.

— Przyznaje więc senior, że jest wysłannikiem prezydenta?

— Tak. Seniorita powiedziała mi, że jest pan pewnym człowiekiem. Juarez przybędzie tu wkrótce. Gdy się z nim żegnałem, ruszał pod Guadalupe, aby odeprzeć Francuzów, którzy chcieli zdobyć fort.

— A więc słusznie przypuszczaliśmy, że żołnierze, którzy opuścili Chihuahua, pojechali do Guadalupe. Czy się jednak Juarezowi uda ich pokonać?

— Bez wątpienia. A teraz na pewno jest już w drodze do Chihuahua.

Gospodarz aż podskoczył z radości.

— Przybędzie tutaj? Dzięki Bogu! Nareszcie skończy się nasza niedola. Kiedy?

— Może już jutro.

— Jutro? Jak się cieszę! Nie wiem, jak panu dziękować za tę nowinę. Przyniosę butelkę wina.

— Dziękuję. Piłem przed chwilą.

— U seniority? Nie jestem prezydentowi mniej oddany niż ona i dlatego przyniosę dwie. Ale nie możemy pić tutaj. Szkoda, że zostaje pan tylko do wieczora. Gdyby czas pozwolił….

— Pozostanę trochę dłużej — przerwał myśliwy.

— O północy muszę się jeszcze spotkać z senioritą.

— To dobrze. Mam tu takie jedno miejsce w sam raz dla pana. Nikt nie będzie nawet podejrzewał, że jest pan w vencie.

— A mój koń?

— O niego nie zapyta żaden Francuz. Proszę iść za mną. Nad stajnią znajdowało się małe, sekretne pomieszczenie. Gospodarz przyniósł dwie butelki przedniego wina. Gawędzili przy szklaneczkach dopóty, dopóki nie zawiadomiono Meksykanina, że do gospody przyszli Francuzi.

— Niestety, muszę teraz odejść — przeprosił gościa.

— Przykro mi bardzo, że zostawiam pana samego.

— Nie martw się o to, senior — uśmiechnął się traper.

— Taki człowiek jak ja zawsze znajdzie sobie towarzystwo.

— Nie zna pan tu przecież nikogo.

— Przeciwnie, mam towarzysza bardzo poczciwego i przyzwoitego.

— Kto to taki?

— Ja sam. Będę się z nim świetnie bawił. Pójdę mianowicie spać. Proszę jednak, abyś zbudził mnie o północy.

— Może senior być spokojny. Nie zapomnę.

Kiedy gospodarz wyszedł, Mały Andre przyglądał się chwilę przez okno zachodowi słońca.

— Z dzisiejszym dniem — mruczał do siebie — dzieje się to samo, co z tą drugą butelką wina. I on, i ona mają się ku końcowi. Trzeba opróżnić ją do dna. Ale co to się dzieje? Po głowie biega mi tabun koni, nogi mam coraz bardziej miękkie i myśli mi się coraz gorzej…

Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, zaryglował je, potem zbliżył się do leżącego na środku pokoju siana, rozciągnął się na nim i po kilku sekundach zapadł w sen. Pod wpływem wina, do którego nie był przyzwyczajony, spał doskonale. Zbudziło go pukanie do drzwi.

— Senior, senior! — ktoś wołał półgłosem.

Zerwał się na równe nogi. Choć w pokoju było zupełnie ciemno, natychmiast zorientował się, gdzie jest.

— Kto tam? — zapytał.

— To ja, gospodarz. Niech pan otworzy! Meksykanin wszedł do środka. W ręce trzymał małą latarkę.

— Jak się panu spało?

— Wyśmienicie. Która godzina?

— Właśnie minęła północ.

— Goście wyszli?

— Nareszcie. Wieczór skończył się wprawdzie potężną bijatyką, ale nie przejmuję się tym. Prezydent jest w pobliżu, wkrótce pozbędziemy się tych intruzów. Niech pan idzie ze mną!

— Już idę. Proszę mi tylko pomóc oczyścić ubranie z siana. Rozumie senior, że gdy się idzie do damy…

— Rozumiem doskonale. Pomógł małemu myśliwemu doprowadzić się do porządku, po czym wyprowadził go na ulicę.

— Drzwi naprzeciw są otwarte — wyszeptał. — Seniorita wróciła przed paru minutami. Będę czekać w gospodzie na pański powrót.

Andre cicho jak kot przebiegł ciemną ulicę. Gdy wszedł do sieni, drzwi się za nim zamknęły.

— Kto tam? — zapytał przestraszony.

— To ja, dozorca. Czekałem na pana. Zapaliwszy świecę, poprowadził trapera do pokoju Emilii. Miała jeszcze na sobie strój wieczorowy.

— Cieszę się, że pana widzę — rzekła przyjaźnie. — Cóż pan porabiał?

— Spałem.

— Dobrze pan zrobił.

— Sądzi więc pani, że będę mógł zaraz wyruszyć?

— Nie tylko pan może, ale musi.

— Czy się coś stało, seniorita?

Opowiedziała mu, że pułkownik Laramel przywiózł rozkaz, na którego podstawie następnej nocy, tuż przed świtem, mają zostać rozstrzelani wszyscy zakładnicy. Mały Andre zdenerwował się.

— Mój Boże, co to za człowiek, który chce i potrafi wziąć na siebie odpowiedzialność za taką zbrodnię!

— Jutrzejszego ranka skazańcy zostaną zawiadomieni, że czeka ich śmierć. O drugiej w nocy, w tajemnicy przed mieszkańcami miasta, Francuzi wyprowadzą ich za miasto i dokonają egzekucji. Czy Juarez może przybyć do tego czasu?

— Seniorita, ruszam natychmiast w drogę i zawiadomię go o wszystkim!

— Gdyby nie przybył na umówione miejsce, jedź mu naprzeciw. Będę czekała do jutra, do północy. Jeżeli do tego czasu nie otrzymam wiadomości od prezydenta, postaram się w inny sposób uratować tych nieszczęśliwych.

— W jaki?

— Odszukam ich krewnych i przyjaciół. Będę miała na to dwie godziny. To chyba wystarczy do zebrania takiej liczby uzbrojonych ludzi, aby zdołali pokonać oddział egzekucyjny.

— Jaki ma być duży?

— To tylko jedna kompania. Ale za to wszyscy obecni w Chihuahua oficerowie chcą być świadkami tego nikczemnego widowiska.

— Czy nie powinna pani wcześniej zorganizować tej pomocy?

— Zanim wezwę obywateli do buntu i przelania krwi, wyczerpię wszystkie inne środki. Przecież w ostatniej chwili może przybyć Juarez!

— Ma pani rację, seniorita. Ruszam natychmiast. A więc najpóźniej do północy.

— Do północy.

— Adios, seniorita! Zanim Emilia zdążyła odpowiedzieć, Mały Andre wybiegł z pokoju.

— Prędko, na miłość boską prędko! — ponaglał dozorcę, który wyszedł, by otworzyć bramę.

Pędem przebiegł ulicę i wpadł do gospody. W izbie siedział gospodarz przy nikłym blasku świecy łojowej.

— I co? — zapytał. — Jedzie pan?

— Tak, i to natychmiast! Czy koń mój nakarmiony i napojony?

— Oczywiście. Ale co się z panem dzieje? Jest senior ogromnie wzburzony.

— Muszę zaraz jechać. Konia! Pobiegł na podwórze. Błyskawicznie osiodłał wierzchowca i przyprowadził przed bramę.

— Co się stało? — dopytywał oberżysta.

— Dowie się pan później. Oto pieniądze za to, co zjadłem i wypiłem — sięgnął do kieszeni i wyciągnął sakiewkę.

— Niech pan to schowa — obruszył się Meksykanin. — Nie przyjmę od pana pieniędzy.

Ale Mały Andre szybko wcisnął mu coś w rękę, wskoczył na konia, spiął go ostrogami tak silnie, że stanął dęba, i pognał przed siebie. Gdy gospodarz wyszedł przed bramę, dźwięk kopyt rozlegał się już na sąsiedniej ulicy.

— Ależ ten człowiek pędzi — mruknął. — Widać coś ważnego musiało się wydarzyć.

Kiedy podniósł rękę do światła, aż mu dech w piersi zaparło.

— Santa Madonna, to nugget wielkości orzecha laskowego! Wart jest przynajmniej dwadzieścia duros. Niech tego człowieka Bóg chroni przed złamaniem karku!

GALOPEM PO POMOC

Opuściwszy miasto, mały traper gnał jak szalony. Na szczęście poznał dobrze okolice podczas kilkudniowego krążenia dookoła miasta. W ciągu godziny dotarł do umówionego miejsca spotkania. Zatrzymał się i wydał kilka okrzyków podobnych do wołania sowy. Nie było żadnej odpowiedzi.

— Jeszcze ich nie ma. Ruszam więc naprzód.

W dalszym ciągu pędził wzdłuż rzeki. Około drugiej rozwidniło się nieco, około trzeciej dotarł do miejsca, w którym wpada ona do Rio Conchos.

— Tu miał Juarez ze swymi ludźmi przeprawić się przez rzekę. Trzeba zobaczyć, czy nie ma jakichś śladów.

Zaczął badać przejście, o ile na to pozwalało skąpe światło brzasku. I tu tropów nie było. Dosiadł znowu konia, przepłynął na drugi brzeg i skierował się na północny wschód w kierunku Liano de Los Cristianos. Rozjaśniło się zupełnie. Nadaremnie jednak szukał śladów kopyt końskich. Koń ledwie dyszał z wyczerpania. Andre czuł, że zwierzę padnie, jeśli tylko zatrzyma je w biegu, dlatego nie popuszczał wodzy.

Zbliżył się do podgórza, za którym płynie Rio Grande del Norte. Nagle ujrzał jakąś długą, ciemną linię wijącą się w dolinie wśród gór. Uniósłszy się w strzemionach, uważnie jej się przypatrywał.

— To oni!

Spiął konia ostrogami z taką siłą, że zwierzę ruszyło obłędnym galopem. Ciemna linia przybliżała się coraz wyraźniej. Można było rozpoznać poszczególne postacie. Z przodu jechali wodzowie: Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Niedźwiedzie Oko, pełniąc rolę wywiadowców. W pewnej odległości za nimi — Juarez pochłonięty rozmową ze Sternauem

i hrabią Fernandem. Za nimi sunęli gęsiego biali strzelcy, a następnie Indianie.

Od dawna już spostrzeżono jeźdźca.

— Kto to być może? — zaciekawił się Juarez.

— Uff! — zawołał Niedźwiedzie Serce. — To kusy człowieczek.

Przyjrzawszy się dokładnie, Sternau potwierdził:

— Tak, to Mały Andre, którego senior wysłał do Chihuahua.

— Dlaczego jedzie tutaj? — zaniepokoił się Juarez.

— Musiało zajść c_oś ważnego.

— Zaraz się dowiemy.

Mały traper był już blisko. Jego koń zwiesił pysk, oczy nabiegły mu krwią, stękał z wysiłku i zmęczenia. Od czasu do czasu podrywał się w górę w okropnych drgawkach. Tuż przed Juarezem wykonał ostatni skok.

— Na miłość boską, skacz pan na ziemię! — zawołał Juarez.

Małemu Andre nie trzeba było tego powtarzać. Błyskawicznie zeskoczył. W tym samym momencie zwierzę padło na grzbiet i nie mogło się podnieść. Chcąc skrócić jego męczarnie, traper wyciągnął rewolwer i wpakował mu kulę w łeb.

— Co się stało, senior Andre? — dopytywał się prezydent. — Gnał pan jak wicher.

— Za kilka minut — odparł mały jeździec — cały oddział musi ruszyć z taką samą szybkością. Przysyła mnie seniorita Emilia. Opuściłem ją przed dziewięcioma godzinami.

— Nie może być!

— Popatrz senior na mego konia! Zajeździłem go na śmierć.

Biali strzelcy otoczyli przybysza kołem. Indianie pozostali w tyle, nie wykazując zainteresowania jego osobą.

— Wyjechałem wam naprzeciw w związku z dekretem Maksymiliana, na którego mocy każdy republikanin powinien być karany śmiercią jako bandyta — ciągnął Mały Andre.

Oczy prezydenta zabłysły gniewem.

— Nigdy nie przypuściłbym, że ten dekret Wejdzie w życie. Maksymilian podpisał wyrok śmierci na siebie samego.

— Ale przede wszystkim na innych. Wczoraj otrzymano w Chihuahua rozkaz Basaine'a, aby wszyscy schwytani

republikanie ponieśli śmierć.

— Są tam więc jeńcy? — zapytał Juarez.

— Jest trzydziestu kilku zakładników. I to oni dziś o drugiej w nocy mają być rozstrzelani.

— Wielkie nieba! Trzeba ich ratować! Ale jak? Mamy bardzo mało czasu.

— Dlatego też nie możemy go tracić — wtrącił zawsze rzeczowy Sternau. — Pozwoli pan, że zadam parę pytań Małemu Andre?

— Oczywiście.

Doktor zwrócił się do trapera:

— Proszę odpowiadać krótko i jednoznacznie. Egzekucja ma się odbyć o drugiej? W jakim miejscu?

— Pod miastem, niedaleko rzeki.

— Jak długo jechał pan tutaj?

— Dziewięć godzin.

— Jeżeli więc nie chcemy zajeździć koni na śmierć, przybędziemy tam w jedenaście. Jak duża będzie eskorta egzekucyjna?

— Jedna kompania oraz oficerowie.

— Czy wszystko ma się odbyć w tajemnicy?

— Zgadł pan. Jedynie seniorita Emilia jest do niej dopuszczona.

— Ona pana przysyła?

— Tak.

— Co chce zrobić, gdybyśmy nie zdążyli na czas?

— Będzie czekać do północy, potem zwoła republikanów.

— Skończyłoby się to krwawą rzezią. Poczciwi obywatele Chihuahua nie są bohaterami. Jak daleko do miasta od umówionego miejsca naszego spotkania?

— Normalnej jazdy dwie godziny.

— Wytrzyma pan drogę powrotną? — Wytrzymam.

— Dziękuję za informacje. Posłuchajcie więc, panowie…

Otoczyli go kołem.

— Przede wszystkim trzeba jak najszybciej zawiadomić senioritę Emilię, że pomoc przybędzie. Nie wolno nam dopuścić

do buntu w mieście. Najszybsi nasi jeźdźcy muszą ruszyć niezwłocznie, by dotrzeć do miasta przed drugą i przeszkodzić egzekucji. Do seniority Emilii pojedzie Mały Andre wraz ze mną. Czy brat mój Niedźwiedzie Oko zna Chihuahua?

— Oko moje zna cały kraj — powiedział wódz.

— Niech więc brat mój poprowadzi pozostałych wodzów i najszybszych jeźdźców. O północy musicie być pod miastem. Będę was oczekiwał nad rzeką. Reszta, ponieważ ma konie mniej rącze, połączy się z nami później pod wodzą seniora Juareza.

— O nie! — sprzeciwił się prezydent. — Na to się zgodzić nie mogę. Chcecie mnie oszczędzać, odciągnąć od walki?

— Życie pańskie jest zbyt cenne, by je wystawiać pod kule.

— Mimo to wyruszę na czele pierwszego oddziału. Kto wie, czy samo moje pojawienie się nie wywoła większego skutku od kul.

— Może ma pan rację. Zresztą będziemy mieli jeszcze czas naradzić się, kiedy spotkamy się o północy. Zdecydujemy wtedy, komu powierzyć dowództwo ostatniego oddziału. A teraz w drogę! Senior Andre, weźmie pan jednego z naszych nie osiodłanych koni.

Myśliwy ściągnął z zabitego konia siodło i wędzidło, a następnie zaczął siodłać drugiego. Juarez zbliżył się do Sternaua i rzekł półgłosem:

— Nie chcę znienacka napaść na Francuzów. Uznaję prawo międzynarodowe. Przybędzie pan do Chihuahua przede mną. Czy mógłby pan być moim emisariuszem?

— A więc życzy pan sobie — Sternau odpowiedział pytaniem napytanie — bym w pańskim imieniu odwiedził komendanta? Ale czy dopuszczą mnie do niego?

— Mam nadzieję, że tak. Proszę powiedzieć Francuzom, że proponuję im wolny odwrót.

— Dobrze. A czy mam ich poinformować, że wiemy o planowanej przez nich egzekucji?

— Nie, tego nie chcę.

— A o tym, że jesteśmy, bardzo blisko miasta?

— Ależ nie, nie!

— Teraz rozumiem pańskie polecenie. Sądzę, że będzie senior ze mnie zadowolony.

— W to nie wątpię. Co się jednak stanie, jeżeli nie uznają — pana za posła i potraktują jak jeńca?

— O to się nie martwię. A gdyby mi się nawet coś przytrafiło, mogę przecież liczyć na przyjaciół. Adios, seniores!

Spiął konia ostrogami i ruszył wraz z Małym Andre. Po kilku minutach odwrócił się i zobaczył; że oddział podąża za nimi.

— Jest teraz dziesiąta — odezwał się po niemiecku. — Po jedenastu godzinach, a więc o dziewiątej wieczorem powinniśmy być w Chihuahua. To wystarczy. Czy wiadomo panu, gdzie ma się odbyć egzekucja?

— Nie — odparł Andreas. — Ale na pewno seniorita będzie wiedziała.

— W takim razie pójdę do niej z panem.

Jechali tą samą drogą, którą przebył mały traper. Minęło przedpołudnie, południe, słońce już chyliło się ku zachodowi, a oni nie zatrzymywali koni. Wiedzieli, że narażają je napewną zagładę, nie mogli jednak postąpić inaczej, chodziło bowiem o życie wielu ludzi. Wieczorem, dotarłszy do Rio Conchos, zatrzymali się, aby zwierzęta wypoczęły nieco i nie weszły do wody spienione. Przeprawiwszy się przez rzekę, ruszyli znowu pełnym galopem. Niedaleko miasta Sternau zwrócił się do trapera:

— Czy znajdzie się tutaj jakieś bezpiecznie schronienie dla koni?

— Tak. Pójdziemy do miasta pieszo.

— Oczywiście. Nikt nie powinien nas zauważyć.

— Tam na prawo ciągnie się las, w którym będzie można ukryć wierzchowce.

Uczyniwszy to, wzięli broń i ruszyli w kierunku miasta. Weszli do Chihuahua tą samą ulicą, przez którą wczoraj wjechał i wyjechał mały myśliwy, a następnie udali się w stronę venty.

Kiedy byli w jednej z bocznych uliczek, Mały Andre szepnął:

— To już tu. Na lewo stoi venta, gdzie się zatrzymałem.

— A dom, w który mieszka seniorita?

— To ten wysoki, duży budynek na prawo.

— Nie świeci się, ale wejdźmy.

— Na noc zwykle zamykają okiennice.

Na ulicy panowały całkowite ciemności. Nikt nie zauważył przybyszów. Brama domu Emilii była tylko przymknięta, weszli więc wprost do nie oświetlonej sieni. Jakiś głos zapytał:

— Kto idzie? Andre nie był dłużny:

— Kto pyta? .— Dozorca.

— To ja, Mały Andre.

— Dzięki Bogu, senior! Czekaliśmy na pana z niecierpliwością. Czy zamknął pan bramę za sobą?

— Tak.

— Więc mogę zapalić światło. Myślałem już, że pan nie przybędzie.

— Seniorita w domu?

— Tak. Oczekuje z wielkim niepokojem. Stary zapalił światło.

— Ach, jeszcze jeden senior! — wykrzyknął. — Polecono mi tylko pana wprowadzić, senior Andre.

— Ten pan jest moim przyjacielem. Musi spotkać się z senioritą.

— W takim razie chodźcie, panowie.

Zaprowadził ich na górę. Gdy tylko weszli do przedpokoju, w przeciwległych drzwiach pojawiła się Emilia. Usłyszawszy kroki, chciała zobaczyć, kto przyszedł.

Sternau stał przed Małym Andre, zasłaniając go sobą. Na widok nieznajomego Emilia zdumiała się:

— Kim pan jest?

Sternau skłonił się lekko.

— Oto ktoś, kto wytłumaczy mnie przed panią. Odsunął się na bok.

— Senior Andrs! — Emilia odetchnęła z ulgą. — Witaj, witaj! Wejdźcie do pokoju!

— Niech pani przede wszystkim pozwoli, bym jej przedstawił mego towarzysza — rzekł Andre. — To senior Sternau, o którym pani wczoraj opowiadałem.

— Senior Sternau? Witam, witam! Wprowadziła mężczyzn do pokoju.

— Siadajcie, seniores. Jakie wieści przynosicie?

— Dobre — szybko powiedział Andre, chcąc ją uspokoić.

— Dzięki Bogu. A więc Juarez przybędzie?

— Tak, będzie na czas. Skazańcy są uratowani.

— Panu to mają do zawdzięczenia, senior Andre. Trudno sobie wyobrazić, jakie męki przeżywają ci biedacy. Są przekonani, że zostaną, zamordowani, nie pożegnawszy swoich najbliższych i nie sporządziwszy testamentu. Spotkał pan Juareza w oznaczonym miejscu?

— Nie. Musiałem jechać naprzeciw.

— Daleko?

— Hm, kawałek drogi.

— Dokładnie piętnaście mil — poprawił go Stemau. Wyciągnęła ręce do małego trapera.

— Dziękuję, senior — powiedziała wzruszona, a oczy jej zaszły łzami. — Dowiódł pan, że w drobnej postaci może kryć się wielkie serce. Czy dowiem się, co postanowiono uczynić dla uratowania skazańców?

Stemau wyjaśnił:

— Przede wszystkim przyjechaliśmy tutaj, aby panią zawiadomić o zbliżającej się pomocy. Dalszy plan działania ustalimy później. Czy zna pani dokładnie miejsce, gdzie ma się odbyć egzekucja?

— Tak. Na prawo od ulicy, którą wjechaliście do Chihuahua, ciągnie się w kierunku rzeki granica miasta. Zakreśla nad rzeką półkole, tworząc coś w rodzaju cypla. Tam właśnie ma się odbyć egzekucja.

— Czy rzeka w tym miejscu jest głęboka?

— Głęboka i rwąca. Francuzi mają zamiar powrzucać do niej ciała rozstrzelanych, aby prąd zniósł je jak najdalej.

— Nie można liczyć na żadną litość dla skazańców?

— Nie, ze względu na obecność pułkownika Laramela.

— Co to za człowiek?

— Słynie z okrucieństwa, znajduje przyjemność w mordowaniu wrogów. Zasługuje w zupełności na miano kata republikanów.

— To mi wystarczy.

— Co pan przez to rozumie, senior?

— Że porozmawiam sobie z tym człowiekiem.

— Oczywiście po walce, o ile wyjdzie z niej cało.

— Prawdopodobnie i przedtem.

— To będzie chyba niemożliwe, senior.

— Dlaczego? Czy nie jest on u komendanta?

— Oczywiście. Dowiadywałam się, co oficerowie zamierzają robić dzisiaj. Oświadczono mi, że Wszyscy są zebrani u komendanta i czekają tam, aż nadejdzie pora egzekucji.

— Doskonale. W takim razie spotkam ich wszystkich razem.

— Co takiego? Chce pan tam pójść?!

— Tak.

— Nie wolno panu! To pewna zguba!

— Nie sądzę. Jestem emisariuszem Juareza, a więc z racji tej funkcji nic mi grozić nie może.

— Myli się senior. Odpowiedzą panu, że nie pertraktują ani z Juarezem, ani z jego pełnomocnikami, ponieważ Juarez jest republikaninem, a więc bandytą.

Sternau wstał.

— Seniorita, czy wyglądam na człowieka, którego łatwo ująć i rozstrzelać?

— O nie! Wygląda pan jak bohater z bajki. Co jednak może Herkules przeciw kuli rewolwerowej czy karabinowej?

— Nie mogę się nad tym zastanawiać. Dałem Juarezowi słowo, że pójdę do komendanta, i słowa tego dotrzymam.

— Widzę, że jest pan bardzo uparty. Proszę w takim razie o jedno: niech pan tam pójdzie pod ochroną jednego z moich zaufanych ludzi.

— Co to za człowiek?

— Jest klucznikiem w ratuszu. To zacny, dobry obywatel, zwolennik prezydenta podobnie jak jego brat, dozorca mego domu. Wypatruje tylko chwili, kiedy Juarez stanie się panem

Chihuahua. Dołoży wszelkich starań, by ją przyśpieszyć. To on mnie powiadomił, że oficerowie zebrani są u komendanta.

— Przypuszcza pani, że mógłby umożliwić mi wejście do ratusza i odwrót?

— Z pewnością. Ma przecież wszystkie klucze.

— (Doskonale. Nie traćmy więc czasu.

— Zawołam dozorcę, a on zaprowadzi pana do brata.

Omówiwszy szczegóły, Sternau opuścił dom w towarzystwie dozorcy. Minęli kilka ulic. Dzięki ciemnościom, które tu panowały, nikt ich nie zauważył. Kiedy zatrzymali się przed jakąś bramą, dozorca wyjaśnił:

— Jesteśmy przed wejściem do ratusza od tyłu, senior.

— Tu zapewne będzie pan na mnie czekać? — upewniał się Sternau.

— Tak. Teraz odejdę na chwilę, aby porozmawiać z bratem.

Znikł za rogiem ulicy, Sternau pozostał pod bramą. Wrócił po jakimś kwadransie.

— No i co? — dopytywał się Sternau.

— Zgodził się, proponuje tylko inną drogę. Słyszy pan kroki? To on.

W zamku zgrzytnął cicho klucz, drzwi się otworzyły.

— Wejdźcie — usłyszeli szept.

Najpierw wszedł Sternau, za nim dozorca. Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Klucznik wyciągnął z kieszeni latarkę, oświetlił Sternaua i powiedział:

— Brat przyniósł wiadomość, w którą trudno mi wprost uwierzyć. Czy to prawda, senior, że Benito Juarez jest w pobliżu miasta?

— Tak.

— Niech Pan Bóg błogosławi za tę nowinę! Brat uprzedził mnie, o co chodzi. Zaprowadzę pana na górę, a on tu poczeka.

Minąwszy cztery pokoje, zatrzymali się przed piątymi drzwiami i klucznik zaczął nasłuchiwać.

— Nie ma nikogo — wyszeptał. — Niech pan popatrzy — uchylił nieco drzwi.

Sternau ujrzał słabo oświetlony korytarz, w którym istotnie nie było nikogo. Naprzeciw znajdowało się główne wejście.

— To za tymi drzwiami — wyjaśnił klucznik — siedzą oficerowie. Będę tu czekał na pana. Jeśli zajdzie konieczność ucieczki, przekręci pan klucz w zamku i przybiegnie ' do mnie. Po jakimś czasie otworzę im, ale pana już tu nie będzie. Uciekając, pozamyka pan za sobą wszystkie inne drzwi i zbiegnie po schodach. Klucze od głównej bramy i latarkę odda pan bratu.

— Doskonale. A więc do dzieła! — ucieszył się Sternau.

— W imię Boże, senior!

Sternau zszedł po schodach do czekającego nań dozorcy i udał się na drugą stronę budynku.

Główne wejście zastali otwarte, szeroki korytarz był oświetlony. Przed ratuszem nie było posterunku. Uchylone drzwi wartowni wychodziły na korytarz. Gdy Sternau chciał je minąć, zjawił się w nich podoficer i zapytał uprzejmie:

— Przepraszam, monsieur, dokąd pan idzie?

— Czy mogę mówić z komendantem?

— O tak późnej porze?

— To moja sprawa! Pytam: czy jest komendant? Ostry, zdecydowany ton zrobił swoje.

— Tak, monsieur — odparł podoficer.

— Zechce mnie pan zameldować, senior?

— Jakie mam podać nazwisko?

— Nazywam się doktor Sternau.

— Proszę za mną.

Oficerowie, zgromadzeni w dużej sali, popijali ananasowy poncz i prowadzili zwyczajem francuskim lekką i wesołą rozmowę o polityce, gdy wszedł podoficer i zameldował:

— Jakiś pan chce mówić z panem komendantem.

— O tak późnej porze? — zdziwił się pułkownik. — Któż to taki?

— Powiada, że się nazywa doktor Sternau.

— Niemieckie nazwisko. To zapewne felczer lub chirurg jakiegoś belgijskiego albo cesarskiego pułku. Niech wejdzie!

Oczy wszystkich skierowały się ku drzwiom. Zamiast pokornego eskulapa, którego spodziewali się oficerowie, wyrosła przed nimi wysoka,, potężna postać ubrana w bogaty strój meksykański.

— Dobry wieczór panom — powiedział Sternau, skłoniwszy się uprzejmie.

Wstali i odpowiedzieli ukłonem.

— Skierowano mnie do komendanta Chihuahua.

— To ja nim jestem. Pozwoli pan, że przedstawię mu panów oficerów.

Przy każdym nazwisku Sternau skłaniał lekko głowę. Gdy zaś komendant wymienił nazwisko pułkownika Laramela, spojrzał nań badawczo. Wreszcie usiadł.

— Czemu mam przypisać zaszczyt odwiedzin pana doktora? — zapytał komendant.

— Zawdzięczam to przypadkowi, który zaskoczył mnie równie niespodzianie, jak panów moja wizyta. Jestem Niemcem...

— Domyśliłem się tego — przerwał chłodnym tonem komendant.

— Z przyczyn, które do sprawy nie należą, przebywałem dłuższy czas nad południowymi morzami. Względy rodzinne zmusiły mnie do przyjazdu stamtąd do Meksyku. Wybrałem drogę, idącą w kierunku granicy Nowego Meksyku.

— Eh, bien! — zaciekawił się Francuz.

— Podczas pewnego postoju spotkała mnie nieoczekiwana przyjemność: poznałem człowieka, którego imię jest ściśle związane z historią Meksyku. Domyślacie się zapewne, panowie, o kim mówię?

— Tam do licha, chyba o Juarezie! — zawołał pułkownik Laramel, zrywając się z krzesła. — Czy zgadłem?

— Tak, panie pułkowniku.

— Świetnie! Nareszcie dowiemy się jakichś bliższych szczegółów. Gdzie on jest teraz?

— Proszę naprzód pozwolić mi mówić dalej — rzekł Sternau uprzejmie.

— Na to jeszcze będzie czas. Proszę przede wszystkim odpowiedzieć na moje pytanie!

To nie była prośba, ale rozkaz. Sternau ciągnął jednak dalej:

— Tak, poznałem Juareza, i to podczas…

— Pytałem, gdzie jest Juarez! — krzyknął Laramel. Sternau odwrócił się z drwiącym uśmiechem i odparł spokojnie:

— Panie pułkowniku! Nie przemawia pan do kompanii karnej, lecz siedzi przed człowiekiem, który przywykł mówić tak, jak mu się podoba. Nie lubię, gdy mi ktoś przeszkadza, potrafię jednak znieść to czasem, o ile przerywa w uprzejmej formie. Ponieważ forma taka nie została przez pana zachowana, muszę zwrócić uwagę, że przybyłem tutaj, by porozmawiać z panem komendantem, nie zaś z pułkownikiem Laramelem.

Takiej reprymendy pułkownik nie słyszał zapewne jeszcze nigdy w życiu. Podniósł się więc i chwycił za rapier,

— Monsieur, chce mnie pan obrazić?! — zawołał.

— Skądże znowu. Żądam tylko, aby mnie traktowano tak, jak się to należy każdemu człowiekowi z mojej sfery, do tego gościowi.

— To wystarczy — wtrącił się komendant, chcąc uniknąć konfliktu. — Pan doktor oświadczył, iż nie chciał obrażać pana, pułkowniku Laramel, wobec tego uprzejmie proszę pana, by mu pozwolił mówić dalej. Uważam incydent za zakończony. Co dalej?

Ostatnie słowa były skierowane do Sternaua. Ponieważ komendant wypowiedział je tonem uprzejmym, doktor skłonił się i kontynuował opowieść:

— Jak mówiłem, poznałem Benita Juareza. Stało się to podczas wycieczki, którą urządził z Paso del Norte. Zainteresowałem się bardzo tym człowiekiem, a on odpowiedział mi tym samym.

— Czy mam przez to rozumieć, że jest pan przyjacielem Juareza? — zapytał komendant poważnym tonem.

— Tak, właśnie to chciałem powiedzieć. Komendant zmarszczył czoło.

— Odnoszę wrażenie, że odznacza się pan niezwykłą szczerością.

— Przyzwyczaiłem się uważać szczerość za cnotę.

— Bywa ona czasami brzemienna w skutki, zwłaszcza gdy się zmienia w nieostrożność.

— Mani nadzieję, że dotychczas nie popełniłem nieostrożności.

— Przeciwnie. Oświadczył pan przecież, że jest zwolennikiem Juareza.

— Nic takiego nie mówiłem. Można przecież być czyimś przyjacielem, nie podzielając jego politycznych zapatrywań. Przejdźmy więc nad tym do porządku. Powtarzam, że miałem okazję poznać Juareza i zdobyć jego. zaufanie. Obecność moja tutaj jest tego dowodem, przybywam bowiem do was jako wysłannik Zapoteki.

— Jest więc pan jego wysłannikiem? Może nawet pełnomocnikiem?

— Istotnie mam pełnomocnictwo do pertraktowania w jego imieniu.

Pułkownik Laramel wybuchnął szyderczym, pogardliwym śmiechem, komendant zaś dodał:

— Przyłączam się do kolegi, którego śmiech świadczy, jak dziwnie brzmią dla nas pana słowa. Więc naprawdę uważa pan Juareza za człowieka, z którym można pertraktować?

— Oczywiście.

— Popełnia pan wielki błąd. Władza nie może pertraktować ze zdrajcami kraju, którzy obrazili majestat. O tym powinien wiedzieć każdy przeciętnie wykształcony człowiek.

— Podzielam to zdanie, chciałbym tylko zapytać, czy mówiąc o zdrajcach kraju, ma pan na myśli Juareza?

— A kogóżby innego? Nawołuje do buntu przeciw nam, stawia zbrojny opór.

— To dziwne. Juarez tak samo was nazywa. Twierdzi, że jest prezydentem. Meksykanie powierzyli mu to stanowisko. Natomiast Francuzi judzą przeciw niemu, a nawet występują zbrojnie. Uważa, ze obraza majestatu jest przestępstwem

politycznym, a nie zbrodnią pospolitą. Jego zdaniem, Francuzi wdarli się do Meksyku przemocą, tak jak to czynią rabusie, włamując się do źle strzeżonego domu.

Pułkownik Laramel poderwał się, chwycił rapier za rękojeść i zawołał gniewnie do komendanta:

— Panie kolego, czy i tę zniewagę pan zniesie?

— Nie — odpowiedział komendant. Wstał i zwrócił się do doktora:

— Nazwał nas pan zwykłymi włamywaczami.

— Ani mi to w głowie! To słowa Zapoteki. 0 moim osobistym zdaniu nie było tu mowy. Dodam tylko, że w żadnym przypadku nie mogę uznać za zdrajcę Juareza.

— Uważam pańską wizytę za niepotrzebną i niebezpieczną. Niepotrzebną dla Juareza, ponieważ nie będziemy z nim pertraktować, niebezpieczną zaś dla pana, monsieur.

— Niebezpieczną dla mnie, dlaczego?

— Ponieważ naraża pan własną wolność, a nawet życie. Juarez został wyjęty spod prawa. Wczoraj otrzymałem powtórny rozkaz postępowania z jego zwolennikami jak z bandytami, czyli rozstrzeliwania ich.

— Do licha! — uśmiechnął się Sternau. — Czy mam sądzić, że i ja jestem uznany za bandytę?

— Naturalnie. Z prawdziwą przykrością muszę oświadczyć, że po pierwsze, nie uznaję pełnomocnika eks—prezydenta za posła, a więc osobę nietykalną, a po drugie, że zatrzymam pana jako swego jeńca. Sternau założył nogę na nogę i stwierdził spokojnie:

— Nie mówmy o punkcie drugim, na to jeszcze nie pora. Co się zaś tyczy pierwszego, to bez względu na stanowisko panów spełnię otrzymane polecenie. Chciałem panom oświadczyć, że…

Przerwał, podszedł bowiem do niego pułkownik Laramel i wrzasnął:

— Ani słowa więcej! Każde następne będę uważać za obrazę!

Sternau wzruszył ramionami.

— Powiedziałem już, że przybyłem tutaj, aby porozmawiać z komendantem Chihuahua, a nie z kimś innym.

Jeżeli nie chcecie wysłuchać pełnomocnika Juareza, to może nie zaszkodzi wysłuchać człowieka, którego informacje mogą być dla was cenne.

— Nie spodziewam się po nich niczego — powiedział komendant lekceważąco.

— Mogą przynajmniej zapobiec dalszym szkodom, choć nie są w stanie zmienić tego, co zaszło. Jeżeli nie chcą panowie uznać Juareza za osobę, z którą można prowadzić pertraktacje, niech przemówią fakty.

— Co to za fakty? Chce pan mówić o jego ucieczce, bezsilności i bezradności? — szydził komendant.

— Ucieczka? Nie uciekł, po prostu się wycofał. Bezsilność? Czy naprawdę można nazwać bezsilnym człowieka, który zniszczył wasze ostatnie piany?

— Niech pan uważa, co mówi! — wybuchnął komendant. — Nie wiem, co pan rozumie przez słowo „zniszczyć". Trzy kompanie francuskie maszerują na północ, by doszczętnie rozbić zwolenników Juareza.

— Sądzicie, że wam się to uda?

— Jestem o tym przekonany.

— Muszę w takim razie poinformować pana, że jest w błędzie. Wasza wyprawa skończyła się fiaskiem.

— Jak to?! Co pan wie?

— Juarez od dawna znał wasze plany. Atak na Guadalupe został odparty.

Wszyscy oficerowie zerwali się z miejsc.

— To nieprawda! — krzyknął pułkownik. — Kto go odparł?

— Juarez.

— Był w Guadalupe?

— Pojechał tam, dowiedziawszy się o waszych planach. Byłem z nim razem.

— Widział pan atak?

— Oczywiście.

— To tylko chwilowy sukces eks—prezydenta. Widocznie nie udało się nam go zaskoczyć. Ale teraz moje dzielne wojsko zdobędzie fort i albo schwyta Juareza, albo go przepędzi.

— Niestety, jesteście za słabi. Komendant zbladł.

— Jak to mam rozumieć?

— Pańskie wojsko wycięto w pień.

— Czy pan żartuje?

— Nie, mówię prawdę. Nikt nie uszedł z życiem. Po chwili milczenia pułkownik Laramel krzyknął:

— To bezczelne kłamstwo!

Sternau nawet nie spojrzał na niego i zwrócił się do komendanta:

— Proszę, aby nie kazał mi pan dłużej słuchać tych obelg. W przeciwnym razie zmuszony będę sam zareagować.

— To kłamstwo! — powtórzył Laramel z wściekłością. — Ten człowiek łże.

Ledwie zdążył wypowiedzieć ostatnie słowo, a już leżał na podłodze. Sternau wstał błyskawicznie i zdzielił go pięścią tak silnie, że Laramel zwalił się jak długi.

Oficerowie osłupieli. Komendant opamiętał się pierwszy i zawołał groźnie:

— Jak pan śmie, monsieur? Uderzył pan dowódcę pułku! Czy wiadomo panu, że za to karzemy śmiercią? Każę pana natychmiast zamknąć.

Ruszył w kierunku drzwi.

— Stać! — rozkazał Sternau.

Komendant zatrzymał się i spojrzał zaskoczony na doktora.

— Czy pan oszalał? Jak pan śmie używać takiego tonu?

— wyciągnął rapier z pochwy. Reszta oficerów poszła za jego przykładem.

— Schowajcie broń — Sternau znów mówił bardzo spokojnie. — Przyszedłem, abyście mnie wysłuchali, i zmuszę was do tego. Rapierów waszych się nie boję, ale wy powinniście mieć respekt przed moimi kulami — dwie lufy rewolwerów skierował na Francuzów.

Przerazili się nie na żarty.

— Człowieku, chce pan naprawdę strzelać? — komendant cofnął się o krok.

— Daję słowo, że wpakuję kulę w łeb każdemu, kto będzie próbował mnie dotknąć lub wzywać pomocy. Nie macie nic prócz rapierów, życie wasze w moich rękach.

— To niesłychana bezczelność! — zawołał komendant, ale opuścił rapier. — Mimo wszystko jest pan zgubiony!

— Jeszcze nie. To wy jesteście zgubieni, o ile nie usłuchacie mnie i nie usiądziecie spokojnie na swych miejscach — ciągle trzymając w ręku rewolwer mówił to tak ostrym tonem, że oficerowie posłusznie spełnili polecenie. — Wspominaliście o rozkazie, w myśl którego każdy zwolennik Juareza ma być traktowany jak bandyta. Wykonacie go?

— Naturalnie.

— Juarez przestrzega was przed tym. Oświadcza, że w takim razie będzie uważał każdego schwytanego Francuza za bandytę. Ponadto polecił mi wezwać was do natychmiastowego opuszczenia Chihuahua.

— Co za komedia! — komendant wybuchnął śmiechem.

— Mówię zupełnie poważnie. Jeżeli spełnicie jego żądania, pozwoli wam spokojnie się wycofać.

Komendant wstał.

— Żądania? Jak pan śmie używać takich słów? Powtarzam, że skrupulatnie wykonam otrzymany rozkaz.

— Bardzo mi przykro, przede wszystkim ze względu na pana.

— Już dzisiaj spełnię obowiązek. A wie pan, kogo pierwszego każę rozstrzelać jako bandytę?

— Domyślam się — uśmiechnął się Stemau. — Mowa o mnie?

— Tak, jest pan moim jeńcem. Proszę się poddać dobrowolnie. Strzelając, może nawet pan któregoś z nas zabić, ale schwytamy pana, zanim zdążysz wystrzelić po raz drugi.

— Nie lubię niepotrzebnego przelewu krwi. — Sternau schował rewolwer do kieszeni.

— A więc pan się poddaje?

— O, nie! Chcę was tylko pożegnać. — Złożył głęboki, pogardliwy ukłon i w trzech skokach znalazł się przy drzwiach.

— Trzymajcie go, trzymajcie! — krzyczał komendant, biegnąc za doktorem. Sternau zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Wściekli Francuzi stłoczyli się przy drzwiach były jednak zamknięte na klucz. Nie przyszło im do głowy, by otworzyć okno i zaalarmować wartę. Walili zapamiętale pięściami, zanim drzwi nie zostały otwarte. Stanął w nich stary klucznik i zapytał ze zdziwioną miną:

— Dios mio! Kto panów zamknął?

— Człowieku, gdzie ty byłeś?! — wrzasnął komendant.

— Na dole, przy drzwiach, senior.

— Czy ktoś wychodził z domu?

— Tak, senior. Nieznajomy, który tu wcześniej przyszedł.

— Wysoki, barczysty, ubrany w strój meksykański? W którą stronę poszedł?

— Nie poszedł, lecz pojechał.

— Konno? Miał konia w pobliżu?

— Tak, senior. Stałem przy bramie. Nawet mnie potrącił, tak się spieszył. Wydostawszy się na ulicę, zagwizdał. Podjechał jakiś jeździec, prowadząc drugiego konia za uzdę. Nieznajomy dosiadł go i odjechał.

— Szkoda, żeśmy tego nie słyszeli!

— Ja sam ledwie co słyszałem. Panowie walili w drzwi tak mocno, że ten hałas zagłuszał wszystko.

— W jakim kierunku odjechał?

— Na południe.

— W takim razie nie ujdzie nam. Niech natychmiast ruszy za nim oddział dobrych jeźdźców. Kto chce objąć komendę?

Zgłosiło się wielu młodszych oficerów. Po chwili dziesięciu kawalerzystów z porucznikiem na czele ruszyło we wskazanym przez klucznika kierunku.

ZDOBYCIE CHIHUAHUA

Wybiegłszy z sali i zamknąwszy za sobą drzwi na klucz, Sternau natknął się na klucznika, czekającego na niego z latarką.

— Prędzej, senior! — ponaglał. — Wszystkie klucze proszę oddać bratu.

Dozorca był w umówionym miejscu.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął uradowany. — Już zaczynałem się martwić o pana.

— Zupełnie niepotrzebnie. Oto klucze i latarka.

Pożegnał się i odszedł szybkim krokiem. Kiedy przechodził przez miasto, nie spotkał żywej duszy. Konia znalazł w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Gdy zastanawiał się, czy czekać tutaj, czy ruszyć naprzeciw Juarezdwi, nagle usłyszał czyjeś kroki. Ukrył się za drzewem. Niebawem rozpoznał nadchodzącego człowieka po charakterystycznym dla niego chrząkaniu.

— Andre? — upewnił się.

— Już pan wrócił? Proszę wybaczyć, ale nie mogłem usiedzieć u seniority. Coś gnało mnie tutaj. Chciałem sprawdzić, czy nasi nie nadciągają.

— To przecież grubo za wcześnie.

— Ach, ci Apacze jeżdżą wspaniale! Juarez jest również świetnym jeźdźcem.

— Czyżby już przyjechali?

— Tak. Ci najlepsi. Omal nie zajeździli koni na śmierć.

— Kto więc już jest?

— Juarez, obaj wodzowie Apaczów, wszyscy ich towarzysze, a spośród wojowników stu najlepszych jeźdźców. Słabsi są jeszcze w drodze.

— Stu jeźdźców? To wystarczy! W drogę! Odwiązali konie i opuścili lasek. Wkrótce dotarli do

Apaczów. Juarez podszedł do Sternaua.

— Była to — powiedział — najcięższa jazda w moim życiu. Miałem wrażenie, jak gdyby łamano mnie kołem.

— Powinien więc pan odpocząć.

— Mowy o tym nie ma! Chcę sam przeprowadzić akcję. Senior Andre mówił mi już, że był pan u komendanta.

— Tak. Rozmawiałem z nim w obecności wszystkich oficerów. Potwierdził, że dekret skierowany przeciwko republikanom umocniono rozkazem specjalnym. Każdy nasz zwolennik będzie traktowany jak bandyta. Pan również. Dlatego Francuzi nie chcieli z panem pertraktować. Mnie zaś zamierzali dziś jeszcze w nocy rozstrzelać, razem z zakładnikami.

— Czy oświadczył im pan, ze będę się mścił: oko za oko, ząb za ząb?

— Wyśmiali mnie.

— Więc nie wiedzą jeszcze, co zaszło w forcie?

— Zakomunikowałem im to, lecz nie wiem, czy uwierzyli i co planują. Musiałem uciekać.

— Co z zakładnikami?

— Nie ma mowy o ich ułaskawieniu. Decyzja rozstrzelania jest nieodwołalna.

— Musimy więc w odpowiedniej chwili otoczyć oddział egzekucyjny i wybić go do nogi. Zal mi oczywiście tych niewinnych ludzi, ale co robić?

— Trzeba wybrać inny sposób. Myślę, ze moglibyśmy zmusić oficerów do oddania Chihuahua bez strzału...

— Caramba! W jaki sposób?

— Wszyscy zebrali się w ratuszu u komendanta. Zakradniemy się tam i obezwładnimy ich. Podobno jest już tutaj stu naszych wojowników. Połowa wystarczy, by cały obóz francuski wziąć do niewoli.

— Ale czy uda nam się opanować ratusz przez zaskoczenie?

— Wszedłem w porozumienie z klucznikiem. To pana zwolennik. Dzięki niemu właśnie zdołałem uciec.

— W jaki sposób trafił pan na tego człowieka?

— Dozorca domu seniority Emilii jest jego bratem.

— Teraz rozumiem. Chciałbym spotkać się z senioritą przed podjęciem ostatecznej decyzji.

— Zaprowadzę pana do niej.

— Doskonale. Chodźmy więc zaraz, tylko wydam odpowiednie rozkazy.

W drodze do domu Emilii nie spotkali żywej duszy.

— Chihuahua nie wygląda na miasto okupowane przez nieprzyjaciela — zauważył Juarez. — Zaczynam wierzyć, że bez trudu pokonamy Francuzów.

W ciemnej sieni natknęli się na dozorcę.

— Kto idzie? — zapytał.

— To znowu ja, Sternau. Jak było w ratuszu?

— Wszystko w porządku, senior. Brat mój oświadczył komendantowi, że jakiś człowiek przyprowadził panu konia i że pojechał senior w kierunku południowym. W tamtą też stronę wysłano pościg.

— Świetny pomysł! Czy można w tej chwili porozmawiać z senioritą?

— Zawsze chętnie pana przyjmie, senior. Czy mam zapalić światło?

— Nie, przecież znam drogę.

Wszedł z Juarezem na górę. Emilia na widok prezydenta krzyknęła z radości i wyciągnęła do niego obie ręce.

— Witaj nam w mieście, presidente! Jestem dumna, że pierwsza mam zaszczyt powitać pana!

— Dziękuję, senioritą — rzekł Juarez z właściwą sobie łagodnością. — Przyznaję, że w znacznym stopniu przyczyniła się pani do mego przybycia tutaj. Powinienem panią oszczędzać, jednak okoliczności zmuszają mnie, abym powierzył senioricie kolejne, trudne zadanie.

— Każde przyjmę z ochotą!

— Chciałbym wysłać panią do Meksyku, do cesarza, w tajnej misji. Ale o tym później. Teraz proszę o kilka informacji. Jakim człowiekiem jest komendant Chihuahua?

— Bardzo przeciętnym. W miarę odważny, w miarę tchórzliwy, w miarę skąpy i w miarę lekkomyślny.

— Czyli raczej niegroźny?

— Tak.

— Czy są wśród oficerów tacy, którzy w szczególnych okolicznościach potrafiliby zachować się wyjątkowo?

— Nie. Nawet pułkownik Laramel, który niedawno tu przybył, jest tylko zwyczajnym okrutnikiem.

Juarez zmarszczył czoło.

— Słyszałem juz o nim, to wstrętny typ. A teraz chcę panią powiadomić, ze przyjąłem propozycję doktora Sternaua, aby nie czekać na godzinę egzekucji, ale zaskoczyć oficerów w ratuszu i tam wziąć ich do niewoli.

— To świetny pomysł!

— Oddaję więc głos doktorowi.

— Proponuję przeprowadzić to w następujący sposób — zaczął Sternau. — Pięćdziesięciu ludzi obsadzi główne wyjścia z miasta. Przewodzić im będą: Mały Andre, Mariano, Bawole Czoło i dwaj wodzowie Apaczów. Z pozostałymi pięćdziesięcioma wejdziemy do ratusza i weźmiemy oficerów do niewoli. Ponieważ ich zaskoczymy, wątpię, by stawiali opór. Co więcej: w strachu o własną skórę oddadzą swych żołnierzy w nasze ręce.

— Dzięki temu — wtrącił Juarez — zapobiegniemy niepotrzebnemu przelewowi krwi.

Sternau ciągnął dalej:

— Do rana będziemy okupować ratusz, o świcie zadecydujemy co dalej. Do tego czasu przybędzie reszta naszych ludzi.

— Wśród czternastu tysięcy mieszkańców miasta — powiedziała Emilia — są setki oddanych patriotów. Na wieść, że prezydent wrócił, bez wahania chwycą za broń. Natychmiast porozumiem się w tej sprawie z najwybitniejszymi spośród nich.

— Podoba mi się ten plan — rzekł Juarez. — Ale nie chciałbym, aby pani zajmowała się tym teraz. Proszę wskazać

człowieka, któremu można by powierzyć to zadanie.

— Jeśli tak pan uważa… Obok mnie mieszka skromny obywatel, gotów życie oddać za rzeczpospolitą. Zna wszystkich patriotów w mieście.

— Kto to taki?

— Gospodarz venty z domu naprzeciw. Chyba jeszcze nie śpi, a zresztą można go obudzić.

— Dobrze. A więc do dzieła! Senior Sternau, czy jak dotąd mogę liczyć na pańską pomoc?

— Oczywiście. Jestem do pańskiej dyspozycji.

— Niech więc pan wróci do naszych ludzi i zarządzi, co potrzeba. Proszę też sprowadzić tu owych pięćdziesięciu wojowników. Schodząc na dół, niech pan przyśle dozorcę, dobrze?

Sternau odszedł, a po chwili zjawił się dozorca. Ponieważ w bramie było ciemno, nie rozpoznał Juareza, gdy ten wchodził ze Sternauem.

— Mój Boże, prezydent! — zawołał teraz. — Ach, senior, nie mogę wprost uwierzyć!

Juarez podał mu rękę.

— Skąd pan mnie zna? — zapytał.

— Widziałem seniora, gdy pan wyjeżdżał stąd do Paso del Norte. Czy wie senior, jakie podjął ryzyko, przybywając osobiście do Chihuahua?

— Nie jest ono aż tak wielkie. Przeciwnie, mam nadzieję dziś jeszcze zawładnąć miastem i liczę na pańską pomoc. Czy jest pan pewien swego brata, klucznika w ratuszu?

— Najzupełniej, senior. To równie dobry republikanin, jak ja.

— Idź więc do niego i powiedz, by mi otworzył tylną bramę, jak to uczynił wcześniej dla pana Sternaua.

— O, Boże! Przecież Francuzi wezmą pana do niewoli!

— Nie udało im się wziąć doktora, mimo iż był sam, nie uda i mnie, tym bardziej że będzie ze mną pięćdziesięciu Indian. To ja wezmę panów oficerów do niewoli.

— Pięćdziesięciu Indian? Ciężar mi spadł z serca! Biegnę do brata.

— Po drodze niech pan wstąpi do venty i powie dyskretnie gospodarzowi, żeby zaraz tu przyszedł.

Dozorca oddalił się. Wkrótce wszedł gospodarz równie uszczęśliwiony, że widzi Juareza. Prezydent polecił mu powiadomić republikanów, że jest w mieście.

Po niedługim czasie wrócił Sternau z wiadomością, że Apacze już są.

— Tak więc zaczynajmy! — powiedział Juarez poważnym tonem.

— Do widzenia, seniorita!

— Tylko bądźcie ostrożni! — prosiła.

Juarez, będący już przy drzwiach, odwrócił się nagle.

— Przyszła mi pewna myśl do głowy — powiedział. — Czy miałaby pani odwagę nam towarzyszyć?

— Oczywiście — przytaknęła szybko. — Przynajmniej nie będę się o was niepokoić.

— Chcę panią zabrać z innego powodu. Jutro otrzyma pani szczegółowe instrukcje w sprawie wyjazdu do Meksyku, do cesarza. Dobrze by jednak było, aby seniorita uchodziła za jego zwolenniczkę. Dlatego proszę iść teraz szybko do oficerów, jeszcze przed nami, i powiedzieć im, że dowiedziała się pani od jednego ze swych szpiegów, iż maszeruję na Chihuahua i zamierzam zająć ratusz. Niech przedsięwezmą środki ostrożności. Resztę pozostawiam pani sprytowi. Zjawię się w odpowiedniej chwili. Może się pani nie przebierać, szkoda czasu.

Lepiej, by oficerowie myśleli, że przybiegła pani do nich zaraz po otrzymaniu tej wiadomości.

— Narzucę tylko mantylę.

Gdy wszyscy troje opuścili dom, na ulicach było tak ciemno, że nie zauważyli Indian leżących na ziemi wzdłuż murów.

Idąc ostrożnie i bardzo cicho, wnet dotarli do tylnej bramy ratusza. Dozorca już na nich czekał.

— Wszystko w porządku? — zapytał Juarez.

— W jak najlepszym, senior.

— Gdzie pański brat?

— Stoi z latarką na schodach, by was poprowadzić, senior. Ja pójdę ostatni i zamknę drzwi.

— Czy oficerowie są w dalszym ciągu razem?

— Tak.

— A gdzie Apacze? — zwrócił się Juarez półgłosem do Sternaua.

Gdy tylko to powiedział, z ciemności dobiegł ledwie słyszalny szept:

— Jesteśmy tutaj.

Gdyby ktoś chwilę później obserwował piętro ratusza, zauważyłby, jak w kolejnych oknach zapala się i gaśnie nikłe światełko.

Pułkownik Laramel powoli przychodził do siebie po ciosie zadanym mu przez Sternaua, a kiedy mógł już wydobyć głos, złorzeczył temu, który go pokonał:

— Gdybym dostał tego łotra, kazałbym go zachłostać na śmierć!

— Na pewno go schwytamy — pocieszał komendant. Zapukano do drzwi. Oficerowie zerwali się ze swych miejsc. Jakie było ich zdumienie, gdy ujrzeli Emilię.

— Pani tutaj, seniorita? O tak późnej porze? — dziwił się komendant.

— Obowiązek nakazywał mi odszukać panów.

— Obowiązek? To brzmi bardzo poważnie.

— Bo i sprawa jest nadzwyczaj poważna, seniores.

— Proszę usiąść, słuchamy.

Podał jej krzesło, ale podziękowała skinieniem głowy.

— Proszę mi wybaczyć, senior, że nie siadam. Chcę panom zakomunikować, że grozi wam niebezpieczeństwo.

Z twarzy komendanta znikł uśmiech.

— Niebezpieczeństwo? — powtórzył.

— Do miasta zbliża się Juarez.

— Ach, tylko tyle! Myślałem, że to znacznie gorsze nowiny.

— Pan mnie zdumiewa! Czyż to nie najgorsza nowina, jaką mogłam przynieść?

— Nie. Zresztą byłem na nią przygotowany. Już dziś wieczorem doniesiono mi, że Juarez opuścił Paso del Norte, aby znów zawładnąć prowincją Chihuahua. Ale ten Indianin, który sobie wyobraża, ze jest prezydentem Meksyku, nie może być dla nas niebezpieczny.

— Myli się pan, panie pułkowniku! Oświadczono mi, że pokonał wasze wojska.

— Słyszałem już o tym.

— I przyjmuje pan tę wiadomość z uśmiechem, spokojnie?!

— Bo to blaga wyssana z palca, aby nas przestraszyć. Komendant nie wierzył wprawdzie, że to kłamstwo, ale przed Emilią specjalnie bagatelizował sprawę. Ciągnęła dalej:

— Jestem przekonana, że to prawda. Wiadomość tę przyniósł mi zaufany człowiek. Wiecie przecież że wszędzie mam swoich ludzi. Wśród nich znajduje się także pewien meksykański poszukiwacz złota. Byt świadkiem niedawnych walk w Guadalupe.

— A gdzie jest teraz?

— W moim mieszkaniu. Zjawił się przed chwilą.

— Można z nim mówić?

— Tak, przyślę go tutaj jutro, o ile będzie jeszcze można.

— Dziwnie brzmią pani słowa.

— Bo naprawdę sytuacja jest bardzo poważna. Człowiek ten jechał z Guadalupe bez wytchnienia. Twierdzi, że Juarez depcze mu po piętach.

— Tak może powiedzieć tylko poszukiwacz złota. Przecież Juarez nie zechce się narażać na niewolę lub rozstrzelanie.

— Jak pan przypuszcza, panie pułkowniku, czy przybędzie sam czy też na czele wojska?

— Może przyłączy się do niego kilku awanturników.

— Znowu się pan myli. Prowadzi z sobą kilkuset Apaczów.

— Phi, nawet kilka tysięcy nie zawładnie miastem.

— Mogą się jednak podkraść i nas zaskoczyć.

— I co z tego? — komendant lekceważąco wzruszył ramionami.

— Skąd pewność, że Juarez nie znajduje się już w mieście wraz z Apaczami? Ma tutaj wielu zwolenników.

— Zachowując cały respekt dla pani — zabrał głos pułkownik Laramel — muszę zauważyć, że gdyby Juarez znajdował się obecnie w mieście, wystarczyłoby jedno moje słowo, a dragoni wyrzuciliby go wraz z jego przybłędami.

— Niech tylko spróbują!

Oficerowie odwrócili głowy. W otwartych drzwiach ujrzeli człowieka ubranego w strój meksykański, o twarzy świadczącej o pochodzeniu indiańskim. Przyglądał im się badawczo i uśmiechał ironicznie.

— Kto odważył się tu wejść? — komendant był wyraźnie podenerwowany. — Kim pan jest?

— Juarez, prezydent Meksyku — odparł przybyły z godnością.

— Do licha! — pułkownik Laramel dobył rapiera. — Tak, to on! Widziałem jego fotografię.

— Poddajcie się dobrowolnie, seniores — powiedział spokojnie Juarez. — Opór nic nie pomoże.

— Brednie! Schwytać go! Pułkownik Laramel podszedł do Juareza. Ten cofnął się dwa kroki.

— Naprzód! — krzyknął.

Sala w okamgnieniu wypełniła się Apaczami. Otoczyli oficerów. Na jednego Francuza przypadało czterech lub pięciu Indian. Błyskawicznie rozbroili osaczonych, związali i zakneblowali im usta, a następnie jak pakunki poukładali na ziemi.

— Senior Sternau! — zawołał Juarez.

Gdy doktor wszedł, Laramel uniósł się mimo krępujących więzów i zaczął coś wściekle bełkotać.

— Zostaw mi, senior, dziesięciu ludzi — rzekł Juarez do Sternaua — z pozostałymi opanuj wartownię. Przedtem jednak musimy się zastanowić, co zrobić z tą kobietą.

Z poważną miną zbliżył się do Emilii, która stała skulona w kącie i udawała, że trzęsie się ze strachu.

— Usłyszałem kilka słów z pani rozmowy z Francuzami. Kim pani jest?

Milczała.

— Proszę odpowiadać! — krzyknął.

— Nazywam się Emilia — odparła cichym, nieco zachrypniętym głosem.

— Seniorita Emilia? Imię to jest mi dobrze znane. Należy pani do moich zaciekłych wrogów, prawda? Wyrządziła mi pani więcej szkody aniżeli cała brygada Francuzów. Postaram się odwdzięczyć pani za to! Gdzie pani mieszka?

— Na Strada del Emyrado.

— Każę dokładnie przeszukać pani mieszkanie. Jeżeli znajdzie się tam coś podejrzanego, powieszę panią jak pierwszego lepszego szpiega! Proszę ją związać i dobrze pilnować, dopóki nie zadecyduję o jej losie.

Sternau mocno skrępował Emilię lassem.

— Naprzód! — powiedział ostrym tonem, pchnąwszy ją ku drzwiom. Wychodząc, kazał iść za sobą trzydziestu Apaczom. Ledwie znaleźli się w korytarzu, zdjął z niej więzy i przeprosił:

— Wybacz, seniorita, ale musiałem być tak brutalny.

— To przecież zrozumiałe. Czy teraz mogę z panem pozostać?

— Lepiej nie. Nie wiadomo, czy ci, których chcemy obezwładnić, nie będą stawiali oporu. Otóż i klucznik. Niech panią odprowadzi do domu. Proszę tam czekać na wiadomość.

Gdy odeszła, Sternau z Apaczami szybko zbiegli do wartowni. Znajdujący się tu żołnierze nie mieli pojęcia, co zaszło na pierwszym piętrze. Siedzieli na ławkach, opowiadając sobie koszarowe dowcipy. Zostali całkowicie zaskoczeni. Indianie w okamgnieniu ściągnęli wiszące na ścianie strzelby, a potem błyskawicznie skrępowali Francuzów i poukładali na podłodze. Sternau kazał zamknąć bramę, aby wszystko, co się stało w ratuszu i co jeszcze mogło się stać, nie doszło do wiadomości mieszkańców.

Tymczasem na górze Juarez szykował się do rozmowy z komendantem. Kazał mu wyjąć knebel z ust i pozwolił usiąść na krześle.

— Podsłuchałem — zaczął — co nieco z tego, o czym mówił pan z senioritą Emilią. Przypuszczam, że senior jest

komendantem Chihuahua. Nie mylę się?

— Nie.

— W takim razie powinniśmy poważnie porozmawiać ze sobą.

— Nie powiem ani słowa, dopóki nie zostaną mi zdjęte więzy — wycedził przez zęby komendant. — Tylko barbarzyńcy wiążą oficerów!

— Ma pan rację, monsieur — przyznał Juarez ze spokojem. — Pańscy towarzysze skrępowali moich oficerów, wśród nich nawet dwóch generałów, i rozstrzelali bezprawnie. Mam więc dostateczne powody, dla których mogę uważać panów za barbarzyńców i tak też was traktować.

— Użył pan niewłaściwego porównania. Rozstrzelani byli buntownikami.

— Czy jestem buntownikiem, jeżeli wypędzam człowieka, który wdarł się do mojego domu siłą lub podstępem po to, aby mnie pozbawić wolności? Niech pan nie będzie śmieszny! Zupełnie mi to obojętne, czy chce senior ze mną mówić czy nie. Właśnie dlatego, że nie jestem barbarzyńcą, miałem zamiar postępować jak najłagodniej. Ale jeżeli będzie mi się pan przeciwstawiał, poniesie zasłużoną karę.

— Nie boję się!

— Chyba pan się nie orientuje, jakimi siłami rozporządzam i jakie jest pańskie położenie.

— Nie chcę nawet tego wiedzieć. Moje wojska rozprawią się z panem.

— Pańskie wojska! Phi! Chihuahua jest w tej chwili otoczona przez moich ludzi. Bez mojej zgody nikt nie może wejść do miasta ani wyjść z niego. Główna warta i wszyscy oficerowie są uwięzieni. Wysłane przeciwko mnie wojska zostały pobite. Obywatele Chihuahua na pewno ruszą na wiadomość o moim przybyciu tutaj. Czy dysponujecie tysiącami? Tych paruset pańskich żołnierzy pokonam w ciągu kilku minut. Po co więc chełpić się na próżno? Będzie pan ze mną rozmawiać czy nie?

— Nie mogę pana uznać za osobę, z którą wolno mi pertraktować.

Zapoteka groźnie ściągnął brwi.

— To samo oświadczył senior memu pełnomocnikowi. Do tego nawet zagroził mu niewolą i śmiercią. Powiedział pan ponadto, że będziecie i mnie uważali za bandytę. Tymczasem rzecz ma się wprost przeciwnie. To wy wtargnęliście tutaj, was mógłbym nazwać bandytami!

— Do licha! Gdybym nie był związany, pokazałbym panu, w jaki sposób oficer reaguje na tego rodzaju obrazę!

— Czcze gadanie! Czarny Gerard uderzył pana pięścią. I co? Zareagował pan? Jako oficer, zasłużył pan na miano człowieka bez honoru. Przecież Gerard pozrywał panu nawet epolety! To największa hańba, jaka może spotkać oficera. Poniżam się, patrząc na pana. Podobnie ma się rzecz z pułkownikiem Laramelem. Senior Sternau uderzył go również. Mam więc podstawy do twierdzenia, że nie znajduję się w towarzystwie dżentelmenów. Pytam jeszcze raz: chce pan ze mną mówić czy nie?

Pułkownik milczał, nie mogąc już jednak ukryć zakłopotania.

— Milczenie wskazuje, że przyznaje mi senior rację. Zresztą, nie chodzi mi wcale o to, kto z nas dwóch jest bardziej powołany do pertraktacji. Niech fakty przemówią. Proszę o odpowiedź: czy ma pan nowe rozporządzenie do dekretu z trzeciego października?

Komendant zrozumiał, że Juarez ma nad nim przewagę, i postanowił zrezygnować z oporu. Odparł więc:

— Tak jest.

— Kto je panu wręczył?

— Pułkownik Laramel.

— Rozporządzenie całkowicie wyjmuje republikanów spod prawa?

— Nie mogę temu zaprzeczyć.

— Otrzymał senior rozkaz traktować nas jak bandytów i rozstrzeliwać?

— Tak.

— Był pan gotów go wykonać?

— Posłuszeństwo jest obowiązkiem żołnierza.

— Wydał pan rozkaz rozstrzelania dzisiejszej nocy moich zwolenników, którzy znajdują się w pańskim ręku?

— Do licha! Skąd pan o tym wie?

— To moja tajemnica. Miałem tu przybyć kilka dni później, przybyłem jednak dziś, aby uratować tych biednych ludzi. Czy mój pełnomocnik, którego nie chciał pan wysłuchać, ostrzegał was, że zastosuję represję?

— Tak.

— Mimo to nic sobie z tego nie robiliście, i pan, i inni oficerowie. Teraz ja oświadczam, iż każdy, kto napada na Meksyk z bronią w ręku, jest bandytą. Pamięta pan, jak to było? Mój kraj miał długi w Anglii, Hiszpanii i Francji. Panował chaos i bezprawie. Wolą ludu zostałem powołany na prezydenta. Przyjąłem tę godność. Czułem, że mam dość siły, by podołać zadaniu. I tak się stało. Dałem krajowi pokój, długi płaciłem regularnie. Gdy jednak zbuntowałem się przeciwko zwróceniu wierzycielom milionowych sum, które im się nie należały, bo były wynikiem oszustwa, państwa te połączyły się, by mnie zmusić do zapłaty. Po pewnym czasie Anglia i Hiszpania wycofały się, przyznając mi rację. Tylko Francja ustąpić nie chciała. Wysłała przeciw nam swoje legiony. Byliśmy słabsi, nie mogliśmy ich odeprzeć. A teraz gdy okrzepliśmy, nie chcemy znosić obcego jarzma! Nazywa się nas bandytami i skazuje na śmierć bez sądu. Czy wszelkie poczucie prawa i sprawiedliwości zamarło w was? Czy wolno jednemu miastu usuwać burmistrza drugiego? Czy wolno obcemu regentowi, który wdarł się na tron bezprawnie, usuwać legalnego regenta? Nigdy! Mogłem ustąpić przed siłą, mogłem wycofać się na jakiś czas, mogłem czekać na przyjście odpowiedniej chwili. Kto jednak na tej podstawie twierdzi, że nie jestem prezydentem Meksyku, ten albo jest wariatem, albo nie ma sumienia i należy do rabusiów, czyhających na naszą własność. Powiedziano w Starym Testamencie: oko za oko, ząb za ząb. Czy mam stosować tę zasadę wobec was, seniores? Czy mam pomścić zabitych, którzy padli, broniąc swojej ziemi przed waszym najazdem? Czy mam pomścić niewinnych, zamordowanych na mocy tego

haniebnego dekretu? Czy mam Basaine'a i tego, którego nazywacie cesarzem Meksyku, traktować jak bandytów? I zabić, jeśli się dostaną w moje ręce? Synowie cywilizacji, siejecie zagładę. A mimo to żal mi was. Lituję się nad wami, ponieważ miłość własna i chęć sławy zaślepiły was. Jeszcze w tym roku odbędzie się sąd, który wyda na was wyrok: za żądzę sławy, za chciwość, za lekceważenie wszystkich praw i ustaw. Wyrok ten wróci ludowi czerwonoskórego Zapotekę, a ten przypomni narodom, że Bóg jest sprawiedliwy, umie nagradzać i karać.

Ponieważ osądzi was historia, ja się od sądu uchylam. Zapoteka stoi przed mordercami swego ludu, przed tymi, którzy zniszczyli jego kraj. Jeżeli będziecie mnie słuchać, wyjdzie to wam na dobre, jeżeli nie — spadnie na was moja karząca dłoń. Ja jestem teraz panem Chihuahua. Jeżeli obiecujecie, że ani wy, ani wojsko tu stacjonujące nie podniesie na mnie ręki, jeżeli oddacie broń i wycofacie się do głównej kwatery Basaine'a, włos wam z głowy nie spadnie. Jeżeli nie przyjmiecie tych warunków, wymorduję załogę, a was nie rozstrzelam, ale utopię w rzece o tej samej godzinie i w tym samym miejscu, w którym obywatele tego miasta mieli zostać rozstrzelani. Daję wam dziesięć minut do namysłu. Teraz odchodzę, abyście mogli spokojnie się naradzić. Zaraz rozkażę, aby powyjmowano wam z ust kneble. Obok każdego postawię Indianina z nożem w ręku. Kto będzie mówił głośno albo próbował uciec, temu Apacz przebije serce. Radzę nie odrzucać moich propozycji. Gdy wrócę, odpowiecie tylko krótko: tak lub nie, reszta mnie nie obchodzi!

Po chwili obok każdego oficera stanął wojownik. Lewą ręką wyjęli Francuzom kneble, w prawej trzymali noże, przygotowane do zadania ciosu. Juarez opuścił salę i udał się do wartowni. Czekał tam na niego Sternau, siedząc przy stole. W pomieszczeniu i na korytarzu stali w milczeniu Apacze. Gdy wszedł Juarez, Sternau podniósł się z krzesła.

— Tak prędko załatwił pan wszystko?

— Jeszcze nie. Wyszedłem tylko, aby oficerowie mogli się naradzić.

— Postawił im pan ultimatum?

— Tak. Chcę uniknąć przelewu krwi. Dałem im więc do wyboru: albo potopię oficerów i rozstrzelam załogę, albo przyrzekłszy, że nie wystąpią zbrojnie przeciwko mnie, będą mogli odejść w spokoju.

— Ciężki wybór. Z jednej strony haniebna śmierć, z drugiej odwrót bez walki, bez broni. Chyba spróbują pertraktować…

— Oświadczyłem wyraźnie, ze nie będzie to miało sensu. Dałem im dziesięć minut na powzięcie decyzji. Nie dodam do tego ani sekundy. Czy pan postąpiłby inaczej?

— Na pewno nie. Mam jeszcze prośbę do pana…

— Słucham.

— Powinniśmy natychmiast uwolnić zakładników. — Gdzie są ci ludzie?

— Nie wiem, trzeba zapytać klucznika.

— Niech się pan zajmie tą sprawą. Minęło dziesięć minut, muszę iść na górę.

Sternau odszukał klucznika. Siedział w swoim mieszkaniu wraz z żoną.

— No i co się dzieje, senior Sternau? — zapytał.

— Wszystko idzie dobrze. Gdzie są zakładnicy skazani na śmierć przez Francuzów? W więzieniu?

— Nie, trzymano ich tam do wczorajszego wieczora. Gdy się ściemniło, sprowadzono ich do ratusza. Lezą związani w piwnicy.

— Kto ich pilnuje?

— Pięciu żołnierzy. Jest tam tez z nimi trzech francuskich kapelanów wojskowych.

— Sprowadzę kilku Indian. Pójdzie pan z nami do piwnicy, dobrze?

Po chwili przyprowadził dziesięciu Apaczów; mieli wszystko, czego potrzeba do skrępowania jeńców. Zeszli po kamiennych, masywnych schodach i dotarli do potężnych, żelaznych drzwi zamkniętych na dwa wielkie rygle.

— Czy w piwnicy pali się światło? — zapytał szeptem Sternau.

— Tak, senior.

— Niech więc pan zgasi latarkę. Będzie lepiej, jak zaskoczymy żołnierzy.

Klucznik wykonał polecenie i odsunął rygiel. Gdy otworzył drzwi, Sternau zobaczył wielką halę oświetloną niewielką lampą.

Dziesięciu Indian niepostrzeżenie wśliznęło się do środka. Niemal jednocześnie rozległo się kilka okrzyków, ktoś zacharczał, ktoś chrząknął… Po chwili wszystko ucichło.

— Uff! — zawołał jeden z Apaczów, co miało oznaczać, że robota skończona.

Dopiero teraz Sternau wszedł do piwnicy. Klucznik zaświecił latarkę. Zakładnicy przywiązani byli sznurami do tkwiących w ścianach żelaznych haków. Pięciu związanych żołnierzy oraz trzech duchownych leżało na ziemi.

— Oswobodzić zakładników — rozkazał Sternau — ale nie niszczyć sznurów. Przydadzą się dla innych.

— Santa Madonna! Czy już nas prowadzą na stracenie? — wyjąkał jeden z Meksykanów.

— Jesteście wolni! — oświadczył Sternau.

— Wolni? Naprawdę wolni?! — pytali z niedowierzaniem.

— Tak. To Juarez uratował wam życie.

— Juarez — wykrzyknęli radośnie i zaczęli jeden przez drugiego pytać o szczegóły oraz komentować zdarzenie.

— Uspokójcie się, seniores. Jeszcze nie opanowaliśmy miasta, jeszcze wiele rzeczy może się zdarzyć. Czy otrzymawszy broń, bylibyście gotowi walczyć u boku prezydenta?

— Tak — odpowiedzieli zgodnym chórem.

— Na górze są nasi jeńcy, francuscy żołnierze. Przeniesiemy ich tutaj, a wy otrzymacie broń. Spieszmy się!

Drżącymi z radości rękami Meksykanie uwalniali się nawzajem z więzów.

Gdy prezydent wszedł do sali, w której znajdowali się oficerowie, wszystko wyglądało tak samo jak przed dziesięcioma minutami. Dał znak ręką Apaczom. Błyskawicznie zakneblowali usta Francuzom. Tylko komendanta oszczędzono.

— Czas minął, senior — zwrócił się do niego Juarez. — Poddajecie się?

— Warunki wasze są za surowe. Mam nadzieję, że…

— Tak czy nie?

— Śmierć nasza zostanie szybko pomszczona.

— Kpię sobie z tych pogróżek. A więc rezygnujecie z mojej łaski? Sądzicie pewnie, że nie będę miał odwagi napoić oficerów wodą meksykańską aż do zachłyśnięcia? Za waszą sprawą nam, Meksykanom, nieraz już woda sięgała powyżej szyi. Przekonacie się, że to nie żarty. Już teraz dam panom przedsmak tego, co was czeka.

— Sacre! Co pan chce uczynić? — dopiero teraz komendant był naprawdę przerażony.

— Pułkownik Laramel jest mordercą kilkuset moich rodaków. Nigdy nie oszczędzał przeciwnika, nie darował winy czy życia. To za jego sprawą miała się odbyć dzisiejszej nocy egzekucja na obywatelach tego miasta. Zachował się jak bandyta, będzie więc odpowiednio potraktowany. Każę go powiesić. Bez sądu, bez wyroku.

— Nie ośmieli się pan! Przecież to pułkownik.

— Pułkownik czy nie jest takim samym szubrawcem i łotrem jak każdy inny pospolity przestępca. W dodatku ma na sumieniu zbrodnie swoich podwładnych.

— Żądam sądu!

— Nad bandytą? Gdybym nawet zwołał sąd, zapadłby

wyrok skazujący go na śmierć przez powieszenie. O to może pan być spokojny.

Po tych słowach Indianinowi, stojącemu obok Laramela, wskazał tkwiący w suficie zakrzywiony hak, na którym podczas specjalnych uroczystości umieszczano kandelabr.

— Ni ti pasettlob gos akäya at—ägo loriatdas! Powieś tego człowieka na lassie! — rozkazał.

— Uff! — Apacz zdjął natychmiast lasso, które jak inni nosił na ramieniu, i zawiązał pętlę. Potem podniósł Laramela i pchnął go na środek pokoju. Z tą samą błyskawiczną szybkością zarzucił mu pętlę na szyję.

— Wstrzymajcie się! To zwykły mord! Protestuję!
— krzyknął komendant.
— Nic pan tym nie wskóra — powiedział Juarez.
— Uratujecie go tylko wtedy, gdy się poddacie. Komendant spojrzał pytająco na Laramela. Ten zacisnął pięści i potrząsnął przecząco głową. Zaślepienie i wiara w pułkownikowską nietykalność sprawiły, że był przekonany, iż nikt nie odważy się go powiesić.
— Nie poddamy się, ale też nie zniesiemy dłużej takiego traktowania! — wykrztusił komendant.
— Zwariował pan chyba. Oto moja odpowiedź! —Juarez dał znak Apaczowi. Indianin zamachnął się lassem w górę z taką zręcznością, że rzemień ośmiokrotnie owinął się dokoła haka. Potem podciągnął je i pułkownik zawisł pod sufitem. Jego konwulsyjne ruchy sprawiały upiorne wrażenie. Apacz przez chwilę jeszcze trzymał lasso obiema rękami, a potem przywiązał jego koniec do komina.
— Morderstwo! Morderstwo! — ryczał komendant.
— Nie chcę dłużej słuchać tego wrzasku — rzekł chłodno Juarez.
Skinął na jednego z wojowników. W ciągu sekundy komendant miał znów knebel w ustach. Juarez opuścił pokój. Chciał odszukać Sternaua, zszedł więc do piwnicy. Spotkali się w korytarzu.
Światło latarki klucznika było słabe, dlatego też zakładnicy w pierwszej chwili nie poznali prezydenta.
— To tutaj ci ludzie byli zamknięci? — zapytał on Sternaua.
— Tak, senior. Na szczęście udało nam się bez wielkiego wysiłku ich uwolnić. Pojmaliśmy pięciu żołnierzy i trzech spowiedników. Kazałem ich związać i pozostawić w tym samym miejscu, gdzie pilnowali zakładników.
— Doskonale. Widzę jednak ludzi niosących strzelby.
— Mam zamiar uzbroić tych mężczyzn w broń żołnierzy. Oni gotowi walczyć pod wodzą pana.
— Dziękuję wam, seniores — prezydent wyciągnął do nich rękę. — Wielka to i wskazana pomoc.

Dopiero teraz zorientowali się, kto stoi przed nimi. Przywitali go radośnie. Ręce wszystkich wyciągnęły się do niego. Nie było jednak na dłuższą rozmowę czasu.

— Najpierw uzbroicie się, seniores — powiedział Juarez — później postanowimy, jak ukarać Francuzów.

Zaprowadził ich do wartowni. Otrzymali strzelby i bagnety. Indianom polecono przenieść związanych żołnierzy do piwnicy, po czym Juarez wraz ze Sternauem i Meksykanami poszli na górę do oficerów.

— Oto, seniores, początek mego sądu nad przestępcami — Juarez wskazał na wiszącego pułkownika. — Ten człowiek był naszym najzacieklejszym wrogiem. Jemu to przypisać należy, że miano was rozstrzelać. Mimo to byłem gotów jemu i pozostałym darować życie. Ponieważ jednak nie chcieli w swym zaślepieniu opuścić miasta, kazałem go powiesić, aby przekonali się, że nie żartuję. Reszta zostanie w najbliższym czasie potopiona, i to w tym samym miejscu, gdzie wy mieliście ponieść śmierć. Ten akt sprawiedliwości należał się tym wszystkim, którzy zginęli z morderczych rąk najeźdźcy.

Słowa Juareza wywarły silne wrażenie na Meksykanach, a zapewne i na Francuzach. Chcąc je spotęgować, Sternau zwrócił się do prezydenta:

— Pan nazywa pojmanych oficerów zaślepionymi? To więcej niż zaślepienie. To obłęd! Zawiadujemy kwaterą główną, obsadziliśmy miasto. Czymże jest garstka żołnierzy wobec naszych pięciuset Apaczów? Jeżeli dodać białych strzelców i przewodników oraz obywateli patriotów, którzy czekają tylko na rozkaz walki, okaże się, że nasza przewaga jest przytłaczająca.

Sternau, jak się okazało, był dobrym psychologiem. Komendant ruchami skrępowanego ciała dał znak, że chce mówić. Na skinienie prezydenta Indianin wyjął mu knebel.

— Czy nadal podtrzymuje pan swoją propozycję, senior?

— Nie skorzystaliście z wyznaczonego terminu. Musicie więc ponieść konsekwencje.

Pułkownik zrozumiał, że nie uniknie śmierci. To do reszty złamało jego butę.

— Gdybym jednak poprosił o względy dla żołnierzy… Po chwili wahania Juarez spytał Sternaua:

— Co pan sądzi o tym?

— Jako chrześcijanin uważam, że lepiej przebaczyć niż mścić się. Ale to nie moja sprawa.

— Będę jednak miał pańskie zdanie na uwadze. Jak pan widzi — zwrócił się do komendanta — jestem skłonny do ustępstw, ale radzę, nie nadużywajcie mojej cierpliwości. A więc oddajecie Chihuahua bez walki?

— Tak.

— Opuszczacie prowincję i pospiesznie przez Durango, Zacatecas i Guanajuato wracacie prosto do stolicy?

— Tak.

— Obiecujecie, pan i wszystkie wojska francuskie, znajdujące się obecnie w Chihuahua, nigdy już przeciwko mnie nie walczyć?

— Obiecuję w imieniu wojska.

— Sporządzimy odpowiedni akt na piśmie, podpiszą go wszyscy oficerowie.

— Zgoda.

— Jeszcze jedno. Czy kobieta, którą tu schwytaliśmy, jest szpiegiem?

Komendant milczał.

— To milczenie potwierdza moje przypuszczenia. Ta kobieta szpieg zasłużyła na stryczek, zgładzenie takiej osoby jednak nie przynosi chwały. Nie wiem jeszcze, co postanowię, ale w każdym razie nie zniosę jej obecności.

— Może senior pozwoli jej udać się wraz z nami do stolicy?

— Hm. A jeśli zostawicie ją gdzieś po drodze, aby znowu zaczęła działać przeciwko mnie?

— Zapewniam słowem honoru, że dowiozę mademoiselle Emilię do miasta.

— Dobrze więc, zgadzam się. Czy jesteście gotowi opuścić jutro Chihuahua?

— Tak.

— W takim razie każę wam wszystkim zdjąć więzy. Zaraz przygotuję odpowiedni dokument.

Apacze uwolnili oficerów. Papier był pod ręką, natychmiast więc przystąpiono do spisania aktu. Gdy podpisali go wszyscy oficerowie, komendant kazał zagrać pobudkę. Wkrótce uzbrojeni żołnierze ruszyli w kierunku kwatery głównej. Ponieważ zbudzono ich o tak wczesnej porze, domyślali się, że stało się coś niezwykłego.

— Czy mają się ustawić na placu w zwartym szyku? — zapytał komendant.

— Nie — odparł Juarez. — Niech dwóch pańskich oficerów stanie przy wejściu i posyła każdego żołnierza do oświetlonej sali na pierwszym piętrze.

Tak też się stało. Potem Juarez polecił Małemu Andre, by sprowadził gospodarza venty. Ten zjawił się natychmiast. Z rozkazu Juareza miał zwołać tych obywateli, których uważał za zupełnie pewnych.

Ogromna sala pomieściła wszystkich francuskich żołnierzy. Niechętnie oddawali broń. Ze względu jednak na przeważającą liczbę Indian nie mieli odwagi stawiać oporu.

Juarez tymczasem poszedł do mieszkania seniority Emilii, by udzielić jej specjalnych instrukcji, związanych z tajną misją.

Dźwięk pobudki zbudził mieszkańców miasta. Obawiali się najgorszego. Tylko najdzielniejsi odważyli się zbliżyć do ratusza. Nagle zabłysło w nim jaskrawe światło, oświetlając grupę Indian i strzelców stojących na dole. Od grupy tej odłączyła się jakaś postać i podeszła do obywateli. Był to Mariano.

— Ciekawi was, co się tu dzieje? — zapytał.

— Tak — odpowiedziało kilku naraz.

Streścił przebieg wypadków. Jego słowa wywołały niezwykłą radość.

— Niech żyje Juarez! Niech żyje republika! — krzyczano. — Wszyscy republikanie do broni! Za prezydenta! Za republikę!

Misja właściciela venty była właściwie zbyteczna, o świcie bowiem w pobliżu ratusza stało już około tysiąca ludzi, gotowych walczyć w obronie republiki i prezydenta.

O tej samej porze bocznymi ulicami zmierzało ku południowej bramie miasta kilku mężczyzn na koniach, a wśród nich zawoalowana dama. To Emilia potajemnie opuszczała Chihuahua, aby nie narażać się na złe języki republikanów i podejrzenia Francuzów.

Wkrótce ku tej samej bramie ruszyli Francuzi z oficerami na czele. Szli w milczeniu z opuszczonymi głowami. Stojący na ulicach Meksykanie przyglądali się odwrotowi najeźdźców błyszczącymi z radości oczami. Od czasu do czasu rzucano jakieś przekleństwo lub obelgę, do czynnych jednak wystąpień nie doszło.

To właśnie tu, w Chihuahua, rozpoczął się sławny, zwycięski pochód Zapoteki. Wkrótce również Monclova została zdobyta. Północną granicę kraju oczyszczono z wrogów.

Dopiero wtedy Juarez przypomniał sobie o lordzie Drydenie, z którym miał się spotkać nad rzeką Sabinas.

Liczba partyzantów wzrosła do kilku tysięcy. Mógł więc spokojnie zabrać z sobą dwustu jeźdźców. Sternau wraz z przyjaciółmi przyłączył się do niego. Za oddziałem jechały wozy zaprzęgnięte w woły. Juarez postanowił przywieźć na tych wozach ładunek, dostarczony przez lorda.

Mariano nie mógł się wprost doczekać spotkania z Anglikiem. Wierzył, że dowie się od niego, co się dzieje z ukochaną. Czy żyje jeszcze? A może wyszła za mąż za innego? Gnany niecierpliwością, ponaglał ostrogą konia.

POUFNY LIST

Prowincja Chihuahua jest bardzo zalesiona. Niezadrzewione tereny ciągną się jedynie wzdłuż rzeki. Aby dotrzeć do niej, trzeba przemierzyć puszczę albo też, nadkładając drogi, prerię, która od wschodu dochodziła do borów. Tędy właśnie pędziło galopem dwustu jeźdźców. Chcieli jak najszybciej dojechać do celu, czyli do tego miejsca, w którym Rio Sabinas łączy się z Rio Salado — tam właśnie lord Dryden miał zarzucić kotwicę. Konie mieli jeszcze świeże, choć wyruszyli wczesnym rankiem, a teraz słońce chyliło się już ku zachodowi. Oddział prowadzili dwaj wodzowie Apaczów oraz Bawole Czoło. Tuż za nimi — Sternau, Juarez i Mariano. Nagle Niedźwiedzie Serce zatrzymał konia, zeskoczył z siodła i zaczął skrupulatnie badać ziemię.

— Stać! — Sternau odwrócił się do jadących za nimi.

— Natrafiliśmy na coś ważnego.

Podjechał do wodzów i również zsiadł z konia.

— Czy mój biały brat widzi te ślady? — zapytał Niedźwiedzie Serce, wskazując ręką. — Rozmieszczenie ich dowodzi, że to biali.

Niedźwiedzie Oko zaczął chodzić wokół, mierzyć, liczyć, wreszcie oświadczył:

— Było jeźdźców dziesięć razy po pięć.

— Przybyli z południa. Jadą naszą drogą i z pewnością w tym samym kierunku. Kto to może być?

— Czy widzą moi czerwoni bracia — zapytał Sternau

— że ślady są bardzo świeże?

— Tak — potwierdził Niedźwiedzie Oko. — Wyprzedzają nas zaledwie o połowę czasu, którą blade twarze nazywają godziną.

— Też tak myślę. Mieliśmy później skręcić na północ, ale teraz musimy tam jechać natychmiast.

Tak zrobili. Coraz wyraźniejsze ślady wskazywały, że ścigający jadą prędzej aniżeli ścigani.

Minęło około pół godziny, zbliżał się wieczór. Niedźwiedzie Serce podniósł się raptem w siodle i wskazując przed siebie, zawołał:

— Uff! Oto są!

— Czy dogonimy ich? — zapytał Juarez.

— Nie. Naprzód musimy poznać ich zamiary. Zajmie się tym Niedźwiedzie Serce. Jedźcie za mną! — zawołał i spiął konia ostrogami.

Spotkali go po niedługim czasie. Zatrzymał konia, pozwalając mu odpocząć.

— Wjechali do lasu — oznajmił.

— Senior Juarez — zaproponował Sternau — wy wszyscy zostaniecie tutaj, a ja z Niedźwiedzim Okiem pójdę na zwiady.

Oddał wodze swego konia Ungerowi i ruszył piechotą. Niedźwiedzie Oko za nim.

Preria nie była tu szeroka, tworzyła wąski pas, ciągnący się wzdłuż brzegu lasu; w którym zniknęli ścigani. Sternau i wódz Apaczów podeszli do pierwszych drzew i zaczęli się skradać. Panował tu gęsty mrok, a po kilku minutach zrobiło się zupełnie ciemno. Szli dalej. Wkrótce ujrzeli jasne światło w oddali.

— Są tam — powiedział wódz. — Rozdzielmy się.

— A gdzie się spotkamy?

— Tu, pod tym samym drzewem. Ja pójdę na prawo, ty zaś na lewo. Musimy się najpierw zorientować, gdzie są ich konie.

W chwilę później Apacza już nie było. Sternau wszedł również w głąb lasu. Idąc od drzewa do drzewa nasłuchiwał, czy ci, których ścigają, czuwają jeszcze, czy też ułożyli się na spoczynek.

Zbliżył się do obozu na taką odległość, że mógł wszystko wyraźnie widzieć. Pięćdziesięciu mężczyzn rozłożyło się dokoła dwóch ognisk, nad którymi piekli mięso. Ubrani byli w stroje meksykańskie, sprawiali jednak wrażenie przypadkowej zbieraniny.

Sternau położył się na ziemi i zaczął ostrożnie pełzać. Zatrzymał się, gdy dotarł tak blisko, że mógł już słyszeć rozmowy.

Dwaj mężczyźni sprzeczali się.

— Powiadam ci, żeśmy zabłądzili — mówił jeden.

— Skądże znowu! Nieraz bywałem w tej okolicy. Znam ją dobrze.

— Mimo to byłoby lepiej zasięgnąć języka, a nie polegać tylko na tobie. Co powie na to senior Cortejo?

Sternau wzdrygnął się na dźwięk tego nazwiska.

— Cortejo? Phi! — drugi prychnął pogardliwie.

— A co jego urocza córeczka? Sternau wzdrygnął się znowu.

— Nic sobie z niej nie robię!

— Myślałem, że jesteś w niej zakochany — roześmiał się pierwszy. — Nosisz przy sobie jej fotografię.

— Tak jak wszyscy, aby się wykazać, że jestem zwolennikiem Corteja.

— I po to, aby zostać ministrem, kiedy on zostanie prezydentem, co?

— Nie żartuj! Nie jestem głupszy od innych, a ministrów wybiera się spośród takich. A zresztą, gdzież Cortejowi do prezydenta. Dlaczego zarządził tę wyprawę?

— Przede wszystkim po to, aby odebrać Anglikowi pieniądze.

— I broń.

— Przeznaczoną dla Juareza, co? Zapoteka będzie się diablo złościł, gdy się dowie, że rywal go ubiegł.

To wystarczyło Sternauowi. Nie chcąc się niepotrzebnie narażać, wrócił pod umówione drzewo. Po chwili nadszedł Niedźwiedzie Oko i szepnął:

— Niechaj brat mój idzie za mną.

Wyszli z lasu na prerię tonącą w mrokach nocy.

— Jest ich dziesięć razy po pięć — powiedział Apacz.

— Naliczyłem tyle samo — oświadczył Sternau. — A konie?

— Stoją głęboko w lesie, dwa razy po sto kroków od ogniska.

— Czy brat mój słyszał, co ci ludzie mówili? Czy dowiedział się czegoś ważnego?

— Jeden mówił o skazanym na śmierć hacjenderze; twierdził, że wciąż widzi przed sobą jego twarz.

— To z pewnością łotr, który popełnił jakąś nikczemność i męczą go teraz wyrzuty sumienia. Czy brat mój jeszcze coś usłyszał?

— Nie. Poszedłem na poszukiwanie koni, a następnie wróciłem tutaj.

— Jedźmy więc szybko do naszych.

— Czy mój biały brat dowiedział się czegoś więcej niż jego czerwony przyjaciel?

— Więcej. Zaraz powiem o tym Juarezowi. Brat mój będzie przy tym.

Popędzili konie. Wkrótce dotarli do swoich, którzy oczekiwali ich z niecierpliwością!

— Znaleźliście białych? — zapytał Juarez.

— Tak, bardzo łatwo. Rozmawiali dość głośno — relacjonował Sternau. — To zwolennicy Corteja.

Następnie opowiedział dokładnie, co podsłuchał.

— Musimy bezwarunkowo ująć tych ludzi — postanowił Juarez — i to jak najprędzej! Przecież nasze spotkanie z sir Drydenem miało nastąpić dziś wieczorem.

— Proponuję więc — zaczął Sternau — aby nasze konie pozostały tutaj ze względu na dobrą paszę. W lesie nie miałyby co jeść i mogłyby nas zdradzić parskaniem. Powbijamy do ziemi pale i przywiążemy je do nich. Dziesięciu ludzi wystarczy do pilnowania wierzchowców. Reszta rozdzieli się. Połowę poprowadzę sam, połowę Niedźwiedzie Oko. Otoczymy obóz pierścieniem.

— Jeżeli te łotry mają głowę na karku, nie dopuszczą do przelewu krwi. Chciałbym go uniknąć za wszelką cenę, tym bardziej ze umarli nic nam nie powiedzą.

— W takim razie, senior Juarez, zróbmy jeszcze coś innego. Niech dwóch naszych ludzi pójdzie tam udając myśliwych. Nie przypuszczam, aby groziło im niebezpieczeństwo. Krzykiem sowy dam im znak, że otoczyliśmy obóz. Wtedy obaj powiedzą

otwarcie, kim są, i wezwą tamtych do poddania się. I może wtedy krew się nie poleje.

— To dobry pomysł, senior, ale rola tych dwóch jest jednak niebezpieczna. Kto się jej podejmie?

— Ja, ja, ja… — rozległo się wiele głosów.

— Mamy odważnych ludzi — ucieszył się Sternau.

— Niech pan wybiera.

— To trudna misja, nie chciałbym nikogo obrazić. Indian musimy wykluczyć. Najlepiej pasują mi do tej roli Mariano i Piorunowy Grot.

Obaj natychmiast odwiązali konie, wskoczyli na nie i pogalopowali w stronę lasu.

— Za kogo się podamy? — zapytał Mariano.

— Oczywiście za myśliwych — odparł Unger.

— Ale jakiego pochodzenia?

— Jestem Niemcem i tak im powiem.

— A ja: francuski zastawiacz sideł.

— Nie zmienię nazwiska, podam im moje prawdziwe.

— Ja w zasadzie też, bo Lautreville to przecież moje dawne nazwisko. Przybyliśmy z Laredo przez Rio Grande del Norte i chcemy się dostać do Francuzów, aby walczyć przeciw temu przeklętemu Juarezowi.

— Świetnie — uśmiechnął się Unger. — A więc naprzód!

Zatoczyli galopem koło tak, aby obozujący sądzili, że przybywają z północy. Zwalniając biegu, zatrzymali konie na skraju lasu. Ujrzeli blask światła padający na trawę. Usłyszeli też jakieś głosy, więc zatrzymali się.

Unger zawołał głośno:

— Hola, co to za ogień w lesie?

Zaległa cisza. Dopiero po dłuższej chwili ktoś krzyknął:

— Kto jesteście?

— Myśliwymi. Czy można się do was dołączyć?

— Stójcie!

Podeszło kilku ludzi, oświetlając ich pochodniami. Jeden zapytał z ponurą miną.

— Czy jest was więcej?

— Skądże znowu! — roześmiał się Mariano.

— Nie jesteście mi potrzebni.

— Ale wy nam.

— Po co?

— Do licha! — zaklął Unger. — Po co? Czyż to nie radość spotkać ludzi w dzikim lesie?

— Cieszycie się na próżno

— Nie gadajcie głupstw. Jechaliśmy cały dzień, chcieliśmy właśnie odpocząć, gdy zobaczyliśmy to ognisko. Chyba pozwolicie zagrzać ręce?

Meksykanin ciągle przyglądał im się uważnie.

— Chodźcie więc — powiedział wreszcie – lecz miejcie się na baczności. Zły los was czeka, jeżeli przybywacie w niecnych zamiarach.

Zsiedli z koni i prowadzili je za sobą. Gdy doszli do ognisk, leżący tam mężczyźni wstali i przypatrywali im się bezceremonialnie. Unger i Mariano przywitali ich grzecznie, ściągnęli z koni siodła i kładąc je pod głowy, rozłożyli się przy ognisku. Jeden z Meksykanów odprowadził wierzchowce. Kiedy wszyscy ponownie usiedli, ten człowiek, który wypytywał ich przed chwilą, zwrócił się do Ungera:

— Jeszcze kilka pytań, senior. Jesteś myśliwym?

— Tak.

— Gdzie polujesz? Skąd pochodzisz?

— Poluję wszędzie. Zwierzyny szuka się tam, gdzie ją można znaleźć, prawda?

— Ale skąd senior pochodzisz? Gdzie się urodziłeś?

— Jestem Niemcem, nazywam się Unger, a mój towarzysz to Francuz nazwiskiem Lautreville.

— Skąd przybywacie?

— Jedziemy znad Rio Grandę.

— Dokąd?

— Musicie to wiedzieć? Dobrze, już dobrze, powiem. Ale nie jesteście przypadkiem ludźmi Juareza?

— Co ci przyszło do głowy? Nie służymy żadnemu Indianinowi.

— No to w porządku. Mój towarzysz jest Francuzem i tęskni za rodakami. Ja zaś mam dawne porachunki z Juarezem, postanowiliśmy więc przyjechać tu i w ten czy inny sposób zaleźć Juarezowi za skórę.

— Słowem, seniores, chcielibyście się zaciągnąć?

— Coś w tym rodzaju.

— Dlaczego zamierzacie służyć Francuzom?

— Bo to rodacy mego towarzysza.

— Ale Basaine nie potrzebuje ludzi.

— W takim razie jechaliśmy na próżno.

— Tak, chyba… że usłuchacie dobrej rady.

— Dobrych rad zawsze słuchamy chętnie — wtrąci! Mariano.

— A więc, krótko mówiąc, moglibyście u nas znaleźć zajęcie.

— U was? A kim wy jesteście?

— Słyszeliście o Panterze Południa?

— Często.

— A o Corteju?

— Nie przypominam sobie.

— Otóż ci dwaj połączyli się, aby Cortejo mógł zostać prezydentem.

— Do licha! Musi to być niegłupi człowiek.

— Werbuje ludzi. Jeśli mu się powiedzie, każdy ze zwolenników może liczyć na dobre stanowisko.

Macie ochotę przystać do nas?

— To poważna decyzja. Musimy się zastanowić. Gdzie przebywa Cortejo?

— W hacjendzie del Erina.

Ledwie zdołali ukryć wrażenie wywołane tą niespodziewaną wiadomością.

— Del Erina? — powtórzył Unger. — Czy to jego własność?

— Oczywiście. Zna ją senior?

— Tak. Przed laty raz tam nocowałem. Wtedy jednak ktoś inny był właścicielem. Nazywał się…

— Arbellez.

— Tak, Arbellez. Czy żyje jeszcze?

— Może. Zabraliśmy mu po prostu hacjendę. Cortejo wziął dom, my podzieliliśmy między siebie resztę.

— Do licha!

W oczach Ungera pojawiły się błyski gniewu. Najchętniej wpakowałby temu człowiekowi kulę w łeb, tamten jednak zrozumiał to inaczej.

— Podoba wam się, co? — z dumą w głosie zapytał.

— Oczywiście. Ale co na to ten… jak mu tam… Arbellez?

— Nic, bo go zamknięto.

— Zamknięto? Jak to?

— Ano zwyczajnie. Niech zdycha z głodu. Unger z trudem opanował wzburzenie.

— Na czyj rozkaz zamknęliście go? — wtrącił się Mariano, czując że lada moment Unger wybuchnie.

— Na rozkaz seniority Josefy.

— Kto to?

— Córka Corteja.

— Gdzie jest teraz?

— Przed kilku dniami przyjechała do hacjendy.

— Więc są tam oboje z ojcem.

— No nie, bo Cortejo wyjechał.

— Dokąd?

Rozległo się wołanie sowy.

— Chcecie wiedzieć zbyt wiele. Kiedy przyłączycie się do nas, będziecie mogli pytać o wszystko.

— Musimy przedtem wiedzieć, dokąd teraz jedziecie.

— Nad Rio Grande del Norte, aby wygarbować skórę pewnemu Anglikowi, o ile nie zeche nam dać pieniędzy.

Unger zacisnął zęby i mruknął półgłosem:

— Nie przyjdzie wam to łatwo.

— Co takiego? — zdumiał się Meksykanin. — Nie rozumiem.

— Powiem więc wyraźnie: idź do diabła, kanalio! — krzyknął Unger.

Nie panował już nad sobą. Wyciągnął rewolwer, przyłożył Meksykaninowi do skroni i nacisnął cyngiel. Padł strzał i zabity zwalił się na ziemię.

Reszta osłupiała. Unger skorzystał z tego i wystrzelił parę razy. Mariano również strzelił kilkakrotnie. Spora chwila minęła, zanim bandyci chwycili za broń. W tym samym momencie Sternau wydał komendę:

— Ognia!

Padła salwa podobna do armatniego strzału. Po drugiej nie było już do kogo strzelać. Wszyscy zbóje leżeli pokotem na ziemi. Nic dziwnego, dwieście strzałów z bliskiej odległości do pięćdziesięciu ludzi musiało ich położyć trupem.

Rozległy się kroki. Niewidoczni dotąd strzelcy podeszli bliżej.

— Po co była ta kanonada? — Sternau zwrócił się z wymówką do Ungera.

— Nie słyszał pan, co ten człowiek opowiadał?! — krzyknął ciągle podenerwowany Unger.

— Nie, poszedłem do koni. Wróciłem dopiero na odgłos strzałów i wtedy kazałem dać ognia.

— Te kanalie zasłużyły na stokroć gorszą śmierć! Napadli na hacjendę del Erina i wrzucili mego teścia do piwnicy! — Unger drżał z oburzenia.

— Naprawdę? — nie dowierzał Sternau.

— Tak. Powiedział to ten łotr, ich przywódca chyba.

— Więc była to banda zbójów? A ja myślałem, ze oddział Corteja.

— Na jedno wychodzi. Cortejo zawładnął hacjendą, kazał ją splądrować, a jego córka poleciła zamknąć Arbelleza, aby umarł z głodu.

— Mój Boże, co za okropna wiadomość! Sprawdźmy, jeszcze, czy wszyscy ci ludzie nie żyją.

Szybko się z tym uporali. Tylko jeden, gdy go dotknięto, jęknął. Popatrzył szklanym wzrokiem i wykrztusił:

— Ach, widzę twarz hacjendera.

— Co ten człowiek mówi? — zainteresował się Juarez.

— Powiada, że widzi twarz hacjendera.

— To widać ten, który zamknął mego teścia.

— Czy to o nim wspominał Niedźwiedzie Oko? — zapytał Sternau.

— Tak — potwierdził Apacz.

— Starajmy się utrzymać go przy życiu. Może uda nam się dowiedzieć czegoś od niego.

Pochylił się nad rannym, zbadał go i pokiwał głową.

— Nie ma mowy o ratunku. Ma przestrzelone płuca. Ranny znów jęknął:

— Ach, ta twarz! — w jego oczach malowało się przerażenie? Spojrzał na leżącego obok przywódcy i wyharczał: — Zabity! Nie żyje. Kto odda list?

— Jaki list? — Sternau znów pochylił się nad nim.

— List do Corteja — wymamrotał.

— Gdzie jest Cortejo?

— W… w… San Juan.

— A list?

Ogień oświetlał twarz umierającego. Z każdą sekundą bladł coraz bardziej. Zamknął oczy. Sternau potrząsnął nim i krzyknął:

— Gdzie jest list?

— W bucie… — wyszeptał z ogromnym trudem.

— W czyim bucie?

Nie odpowiedział. Śmierć wyciągnęła już po niego rękę. Ustami rzuciła mu się krew. Nagle życie wróciło jeszcze na chwilę, uniósł się nieco nad ziemią i zawołał:

— Boże, Boże, przebacz mi, dałem mu przecież chleba i wody!

To były jego ostatnie słowa. Skonał.

Milczeli czas jakiś.

— Co to mogło znaczyć? — zastanawiał się Mariano.

— Nie dowiemy się nigdy. Zabierze tę tajemnicę do grobu — odparł Unger.

— A może nie? — Sternau był,innego zdania. — Twarz hacjendera prześladowała go od dłuższego czasu, w przedśmiertnej godzinie wyznał, że dał mu chleba i wody. Może żywił Arbelleza w piwnicy? Szkoda, że nie darowaliśmy mu życia.

— Nawet jeśli tak było, jak senior przypuszcza, skąd mogliśmy o tym wiedzieć? Nie wyrzucajmy więc sobie śmierci

tego człowieka — odezwał się Juarez. — A teraz poszukajmy listu.

— List w bucie, ale w czyim?

— Musimy przeszukać buty przywódcy, jemu go zapewne powierzono.

I rzeczywiście, w jednym z butów znaleziono list Josefy.

— Proszę, senior — Sternau podał papier Juarezowi. Prezydent podszedł do ogniska, by w jego świetle przeczytać list. Gdy skończył, zwrócił się do swoich towarzyszy:

— Posłuchajcie. Oto treść listu — odczytał go słowo w słowo, po czym dodał: — Musimy przechować ten dokument jako wiarygodne wyznanie ciężkich zbrodni. A teraz zabierzcie zabitym broń i w drogę. Musimy jak najszybciej dotrzeć nad rzekę Sabinas, tam gdzie mieliśmy się spotkać z sir Drydenem.

— A co z moim teściem Arbellezem? — niepokoił się Unger.

— Pojedziemy i do hacjendy. Piewszą naszą powinnością jest jednak ratowanie ładunku ze statku lorda i schwytanie Corteja. Droga nad rzekę nie będzie trwała dłużej niż dwie godziny. Na koń!

ANGIELSKIE MILIONY

Port Refugio leży nad ujściem Rio Grande del Norte, dzielącej Meksyk od Teksasu. Mimo wielkości rzeki i zalet, w jakie natura wyposażyła Refugio, w roku 1866 nie zaliczano go jeszcze do dużych portów. Rozwojowi żeglugi nie sprzyjały niespokojne czasy i nieuporządkowane stosunki miejscowe oraz brak zainteresowania władz państwowych handlem światowym.

Nic więc dziwnego, że kiedy do portu zawinął okręt hrabiego z Nothingwell, sir Henry'ego Drydena, załadowany bronią, amunicją i pieniędzmi dla Juareza, poza nędzną brazylijską barką nie było tam większych statków. Lord na szczęście już wcześniej zamówił kilka łodzi przeznaczonych do rzecznego spławu ładunku oraz dwa małe parowce, które miały je holować; stały na kotwicy opodal ujścia rzeki. Przepakowano ładunek i oczekiwano powrotu Sępiego Dzioba, którego lord wysłał do Juareza z zawiadomieniem o swym przybyciu.

Sir Henry mieszkał w małej, wygodnie urządzonej kajucie jednego z parowców. Niecierpliwił się i niepokoił, czy wysłannika nie spotkało w drodze coś złego.

Był wieczór. Zawołał do siebie sternika.

— Według mojej rachuby Sępi Dziób powinien już był wrócić — powiedział — a tu czas nagli. Jeśli nie zjawi się w ciągu jutrzejszego dnia, wyruszamy.

— Bez przewodnika?

— Dwaj ludzie z załogi znają nieco rzekę. Zresztą mam nadzieję, że Sępiego Dzioba spotkamy po drodze.

— A jeśli przytrafił mu się jakiś wypadek?

— Będziemy musieli sami sobie poradzić.

— A jeśli nie dotarł do Juareza i prezydent nic nie wie o naszym przybyciu?

— To byłoby fatalne. Mogą napaść na nas Francuzi i starać się zdobyć ładunek. W każdym razie nie możemy tu marudzić.

— Kalkuluję, że obejdą się smakiem.

Słowa te padły zza uchylonych drzwi kajuty. Anglicy obejrzeli się.

— Sępi Dziób! — uradował się Dryden. — Bogu dzięki!

— Ja też mu dziękuję! To dopiero była heca! Taka podróż, sir, to wyczyn nie lada. Co więcej, nie znalazłem was od razu. Nie sądziłem, ze zatrzymacie się w tym miejscu.

— Ale w końcu znalazł nas pan. Proszę powiedzieć, jak się udała wyprawa.

— Dziękuję, sir, bardzo dobrze. Jesteście gotowi do drogi?

— Tak. Dwudziestu ludzi. Chyba to wystarczy. Rozmawiał pan z Juarezem?

— Owszem, lecz spotkałem go nie w Paso del Norte, tylko w forcie Gaudalupe.

— Wyjechał panu naprzeciw?

— Nie, sir. Według moich kalkulacji nic o mnie nie wiedział. Przybył, jakby to powiedzieć, bo taki był jego plan działania. Tam, w głębi kraju, zdarzyły się dziwne rzeczy, sir, o których muszę panu opowiedzieć.

Dryden wskazał mu krzesło polowe:

— Siadaj i opowiadaj, senior!

— Hm! Nie jestem przygotowany do tak długiej opowieści, sir. Gardło łatwo mi przy mówieniu wysycha i jeśli…

— Ależ dobrze! — przerwał ze śmiechem Dryden.

— Postaram się zaraz o krople, które doskonale zwilżają zaschnięte gardło.

Otworzył szafkę, wyjął butelkę i nalał pełną szklankę.

— Pij na zdrowie, master! Zapewne jest pan także głodny!

— Nie przeczę, sir, ale głód może jeszcze poczekać. Jedzenie przeszkadza opowiadaniu. Słowa chcą wyjść na zewnątrz, a kęs gramoli się do wnętrza, spotykają się, zderzają, a z tego, kalkuluję, nic dobrego nie wyniknie. Natomiast kropla trunku na języku nie przeszkadza mówieniu.

Pociągnął mały łyk ze szklanki. Prawdziwy westman zawsze pije powoli.

— Bardzo jestem ciekaw, co mi pan powie — rzekł Dryden.

Drydedy A ja jestem ciekaw — w oczach trapera pojawił się chytry uśmieszek — jak pan to przyjmie.

— Czy przywozi pan wieści ważne dla naszej wyprawy?

— Tak, a nawet więcej. Są one ważne i z innych względów. A więc — zaczął opowiadać z tajemniczą i szelmowską miną — zajeżdżam do fortu Guadalupe do starego Pirnera, chłop na schwał, ale swoją drogą wyjątkowy osioł, sir.

Odwrócił się i splunął — zapewne na wspomnienie rozmowy z Pirnerem — tak celnie, że ślina przeleciała tuż nad Drydenem i znikła w otwartym okienku kajuty.

Dryden cofnął głowę i skrzywił się z niesmakiem.

— Wypraszam to sobie! Czy wystrzał był we mnie skierowany?

— Ależ skąd, sir! Nie zwykłem nigdy chybiać. A więc zjawiłem się w Guadalupe i znalazłem tam Czarnego Gerarda. Miałem nadzieję, że zaprowadzi mnie do Paso del Norte, ale to było zbyteczne, gdyż prezydent przyjechał do fortu. Nie bez powodu zresztą. Czy wie pan, że Juarez rozpoczął już działania wojenne?

— Nie, nie wiem.

— Ma poparcie Apaczów. W Guadalupe pobił wrogów na głowę. Teraz wyruszył, by zdobyć Chihuahua, a potem Monclovę. Następnie podąży na spotkanie z panem.

— Gdzie ma ono nastąpić?

— U zbiegu rzek Sabinas i Salado. Według moich kalkulacji przybędziecie tam jednocześnie, jeśli pan wypłynie jutro rano.

— Wolałbym jeszcze dziś wieczorem, o ile ciemności nie stoją na przeszkodzie.

— Bynajmniej. Rzeka jest szeroka, a woda tak błyszczy, że nie sposób pomylić kierunku.

— Czy Juarez osobiście chce spotkać się ze mną, czy też wyśle kogoś w zastępstwie?

— Jak kalkuluję, osobiście.

— Oczywiście w asyście dużego oddziału.

— Rozumie się! Nie zabraknie ludzi, gdyż jak tylko prezydent pojawi się w Chihuahua, wielu wolontariuszy zaciągnie się pod jego rozkazy.

— A więc wie pan na pewno, że pokonał Francuzów w Guadalupe?

— Na pewno, gdyż sam brałem udział w bitwie.

— Czy Juarez dowodził?

— Można powiedzieć, że tak, aczkolwiek najwięcej zdziałali, przynajmniej z początku, Czarny Gerard i Niedźwiedzie Oko, wódz Apaczów.

Mocno zaakcentował imię Indianina. Dryden zmarszczył brwi:

— Niedźwiedzie Oko? Co za podobieństwo?

— Do Niedźwiedziego Serca, prawda?

— No właśnie. Czy znał pan tego Indianina?

— Dawniej nie znałem, ale teraz to i owszem.

— Co pan powiada!? Zna pan wodza o imieniu Niedźwiedzie Serce?! Gdzie go pan spotkał?

— W forcie.

— To niemożliwe! Niejeden Indianin mógł przybrać takie imię — po namyśle zauważył sir Dryden.

— O nie! Indianin nie przyswaja sobie imienia należącego do kogoś innego.

— A jeżeli ten ktoś należy do innego plemienia?

— Tym bardziej nie.

— Z jakiego plemienia pochodzi pański Niedźwiedzie Serce?

— Z Apaczów, a Niedźwiedzie Oko jest jego bratem.

— Prawdziwy Niedźwiedzie Serce zaginął przed wielu laty.

— Istotnie, sir. Niedźwiedzie Oko długo go szukał i nawet już sądził, że brat został zamordowany przez białych.

— Ale powiada pan, że widział Niedźwiedzie Serce. Tego zaginionego?!

— Tak, jego we własnej osobie. Lord zerwał się z krzesła.

— Master, nie zdaje pan sobie sprawy, jaką nowinę mi przyniósł!

Traper uśmiechnął się nieznacznie.

— Czy nie wie pan, gdzie ten Apacz przebywał tyle czasu?

— Gdzie mógł przebywać? Zawieruszył się w sawannach lub gdzie indziej. Czerwonoskórzy są wiecznymi włóczęgami.

— Och, ale nie on! Czy sądzi pan, że będzie towarzyszył prezydentowi i razem z nim przyjedzie nad Rio Sabinas?

— Tak sądzę, sir.

— Dzięki Najwyższemu! Zobaczę go i będę mógł z nim rozmawiać! Dowiem się o jego dawnych towarzyszach i o ich losie! No właśnie… Czy z Niedźwiedzim Sercem byli jacyś ludzie?

— O, tak, niejeden — powiedział traper z obojętną miną. — Był z nim pewien Hiszpan, imieniem Mindrello, Indianka Karia, jakaś seniorita Emma…

— I kto jeszcze?! Mów pan, na Boga!

Sępi Dziób udał, że nie słyszy pytania.

— Ta seniorita, zdaje się, jest mężatką. Tak myślę, bo bardzo czule odnosi się do pewnego seniora.

— Czy zna pan jego imię?

— Nazywa się Unger i w swoim czasie był znakomitym myśliwym. Nadano mu przydomek Piorunowy Grot. Poznałem również jego brata, sternika czy kapitana.

Lord położył drżącą rękę na ramieniu westmana. W jego głosie słychać było wzruszenie, kiedy zapytał:

— Czy to już wszyscy towarzysze wodza Apaczów?

— Muszę się zastanowić, milordzie. Zaraz… Przypominam sobie jeszcze jednego: olbrzymiego draba z brodą sięgającą do pasa. Był niegdyś lekarzem, ale również sławnym myśliwym. Nazywali go Władcą Skał.

— Sternau?

— Tak, Sternau. Niemiec.

— I nikogo więcej już pan nie pamięta?

— Aha… Był jeszcze starszy pan, don Fernando. Zdaje się, że stary Pirnero mówił, iż ten senior to hrabia Rodriganda.

Lord z trudem panował nad sobą.

— Na miłość boską, człowieku! — krzyknął. — Czy naprawdę o nikim nie zapomniałeś?!

— Cierpliwości, sir… Tak… Ale ten to już naprawdę ostatni. Mimo różnicy wieku niezwykle podobny do starego hrabiego. Sternau i on są na ty. Doktor nazywał go chyba Marianem.

— A więc i on uratowany! Boże, dzięki ci! Opowiadaj, master, opowiadaj!

— Chętnie, milordzie! Dowie się pan o wszystkim. Chociaż, milordzie, znowu gardło zaschło i tak stwardniało, że…

— Tu stoi butelka. Niech się pan częstuje

Sępi Dziób nalał sobie, łyknął i zaczął dokładnie, już bez ponaglania, zdawać relację. Lord, a nawet sternik, słuchał z napiętą uwagą. Wreszcie opowieść trapera dobiegła końca.

— To wszystko co wiem. O szczegóły niech pan pyta, milordzie, tych panów, kiedy spotkacie się nad Rio Sabinas.

— Moglibyśmy już wyruszyć, ale pan jest zbyt zmęczony, prawda?

— Phi, dobry myśliwy nie zna uczucia zmęczenia. Skoro pan chce jechać, jestem do pańskich usług. Czy ludzie są na stanowiskach?

— Wszyscy. Nawet kotły już nagrzane, jak pan chyba zauważył.

— Łodzie transportowe przymocuje się do obu parowców. Moje miejsce jako przewodnika jest na pierwszym. A pańskie?

— Także tam.

— Wieczorami nie będziemy zarzucać kotwicy koło brzegu, jak się to zazwyczaj robi, lecz na środku rzeki. Czy pańscy ludzie są dobrze uzbrojeni?

— Tak. Zresztą mam amunicję na łodziach. Nie ma powodu do obaw, master.

— Też tak sądzę, ale musimy być na wszystko przygotowani.

Sępi Dziób zaczął obchodzić łodzie, zaszedł też na pokład drugiego parowca. Wśród załogi spotkał niejednego znajomego. Zarówno ci, jak i pozostali robili dobre wrażenie. Sternikowi drugiego parowca kazał trzymać się tuż za pierwszym, po czym wrócił do lorda.

Wyrzucono liny, umocowano łodzie i dano znak do podniesienia kotwicy. Oba parowce powoli ruszyły z miejsca.

Była głęboka noc, ale gwiazdy jasno świeciły, wyraźnie oświetlając drogę. Sępi Dziób stał na mostku i pilnie wpatrywał się w rzekę. Lord nie opuszczał go ani na chwilę. Wciąż wypytywał o różne sprawy związane z odnalezieniem się przyjaciół.

Miasto City leży na lewym brzegu Rio Grandę, nie opodal zaś, na prawym — miejscowość Mier. Stąd zaś do Reville i Belleville, gdzie Rio Salado wpada do Rio Grandę, jest przeszło pięćdziesiąt mil.

Na całej tej długości brzegi są porośnięte gęstymi zagajnikami, za którymi strzelają ku niebu potężne drzewa starego lasu. Między nimi łatwo można przejechać na koniu, podczas gdy nadrzeczny zagajnik nastręcza wiele trudności.

Przez las mknął w górę rzeki spory oddział jeźdźców. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Musieli mieć za sobą długą drogę, bo ich konie wyglądały na bardzo zmęczone.

Oddział wyprzedzało dwóch ludzi. Jednym był Pablo Cortejo, śmieszny pretendent do panowania nad Meksykiem. Humor mu nie dopisywał. Z ponurym wyrazem twarzy rozmawiał z towarzyszem, od czasu do czasu rzucając przekleństwa.

— Co za diabelski pomysł transportować to na dwóch parowcach!

— To by jeszcze uszło. Ale że nie przybijają do brzegów… Przecież liczyliśmy na nocny napad. Nic z tego.

— Bodajby diabli porwali tego Anglika! Od San Juan gnamy za nim bez odpoczynku, konie ledwie zipią, a wszystko nadaremnie.

— Trzeba by go jakoś podejść, senior.

— Ale w jaki sposób? Wszak nie zbliżają się do brzegu.

— Niech się nie zbliżają. Już moja w tym głowa, by Anglik sam do nas przyszedł…

— Co chcesz zrobić?

— Rozumie się, że otrzymam dodatkowe wynagrodzenie…

— Otrzymasz. Co więc zamierzasz?

— Powiem ci, senior, za pół godziny. Kiedy przybędziemy na miejsce, które sobie upatrzyłem.

— No dobrze. Ale chyba masz rację. Jeśli schwytamy Anglika, to i resztę mamy w ręku.

— Schwytamy, senior, schwytamy.

Po trzydziestu minutach las mocno się przerzedził. Znaleźli się na półwyspie, który wciskał się klinem w wodę. Grunt miał skalisty i roślinność skąpą. Stąd łatwo było ogarnąć wzrokiem całą rzekę, również z niej miejsce to było dobrze widoczne.

— A więc, senior Cortejo — powiedział jego towarzysz — zrobię tak…

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy pierwszy parowiec dopłynął do zakrętu rzeki. Lord wraz z Sępim Dziobem stał na mostku przy sterniku.

— Jak daleko do Rio Salado? — zapytał sir Dryden trapera.

— Będziemy tam jutro w południe. Ale spójrz, milordzie, na ten półwysep. Czy nie stoi tam jakiś człowiek?

— Rzeczywiście. Teraz usiadł.

— O nie, nie usiadł, ale upadł — dodał sternik. — Chyba jest ranny.

— Teraz znów się podnosi, ale z trudem — powiedział Sępi Dziób.

— Chwieje się na nogach. Upadł!

— Czy nie wyślemy łodzi? Przecież trzeba mu pomóc.

— On coś woła! Posłuchajmy.

Widać było, jak nieznajomy przyłożył ręce do ust.

— Juarez! Juarez!

— Goniec od prezydenta! Musimy go zabrać na pokład! Popłynę po niego!

— Nie, milordzie — sprzeciwił się Sępi Dziób. — Musi pan być ostrożny. Wystarczy wysłać łódź z dwoma marynarzami.

Sternik wydał odpowiednie rozkazy. Spuszczono czółno na wodę, a parowce rzuciły kotwice tam, gdzie się zatrzymały. Mimo zapadającego zmroku widać było z mostku, jak majtkowie przybili do brzegu, wylądowali, przymocowali czółno i zbliżyli się do człowieka leżącego na ziemi. Rozmawiali

z nim kilka minut, po czym — ku zdziwieniu obserwujących ich — sami wsiedli do czółna i zaczęli płynąć z powrotem.

Lord był bardzo zdenerwowany.

— Dlaczego nie przywieźliście rannego?! — krzyknął, gdy weszli na pokład.

— Spadł z konia i ciężko się zranił. Gdy odzyskał przytomność, z trudem dowlókł się do rzeki. Cierpi biedak okropnie, zwłaszcza kiedy się go dotyka. Prosił, byśmy zostawili go w spokoju, bo i tak umrze.

— Dlaczego więc dawał nam sygnały, skoro nie chce naszej pomocy? — zapytał Sępi Dziób.

— Jest wysłańcem Juareza. Prezydent polecił mu zatrzymać się nad rzeką i wypatrywać lorda Drydena, aby mu przekazać ważne wiadomości.

— To nie brzmi prawdopodobnie. Juarez ustalił miejsce spotkania z nami. Jeśliby wysłał gońca, to tylko w tym przypadku, gdyby je zmienił lub gdyby chciał nas ostrzec przed grożącym nam niebezpieczeństwem. Zresztą, dlaczego ranny nie przekazał wam treści swego poselstwa?

— Nie wolno mu wtajemnicza, t innych w to, co ma do powiedzenia lordowi.

— To mi się wydaje jeszcze bardziej podejrzane. Czy widzieliście jego konia?

— Nie.

— Czy nie było w pobliżu śladów kopyt?

— Grunt jest skalisty.

— Czy nie zauważyliście czegoś lub kogoś na skraju lasu?

— Nie.

— Będę więc musiał pojechać — postanowił, dotąd milczący, lord. — Muszę wiedzieć, co kazał mi donieść Juarez.

— Poseł może przecież przekazać wiadomość komuś innemu — Sępi Dziób kręcił głową z niedowierzaniem. — Bardzo mi się to wszystko nie podoba. Kto wie, ile ludzi kryje się za tamtymi drzewami.

— Mogę przecież wcale nie przybijać do brzegu, tylko rozmawiać z nim z czółna.

— A jeśli będą strzelać do pana? — zakasłał i splunął w wodę. — Ach, milordzie, przyszła mi fantastyczna myśl do głowy. To ja popłynę. Podam się za sir Henry'ego Drydena i kalkuluję, że nie najgorzej wywiążę się z tej roli.

Mówiąc to, stroił sowizdrzalskie miny. Lord obrzucił go wzrokiem od stóp do głów, z uwagą popatrywał na jego długi nos, odkrytą, owłosioną pierś, porwaną odzież i powiedział łagodnie:

— Tak. I ja sądzę, że będzie pan doskonałym lordem.

— No, godności mi nie brak. Jesteśmy jednakowego wzrostu, milordzie. Czy nie ma pan ze sobą ubioru, jaki się zazwyczaj nosi w Londynie czy w Nowym Jorku?

— Wie pan, że mam.

— Cylinder, rękawiczki, kokardka i monokl, a może nawet parasol?

— Rozumie się.

— Czy nie chciałby mi pan pożyczyć tych. drobiazgów? Napięcie zostało rozładowane. Lord roześmiał się, Sępi Dziób mu wtórował. Postanowiono, że traper uda się na ląd jako lord Dryden.

— No, idę się przebrać — oświadczył i znikł w kajucie lorda.

Kiedy zjawił się ponownie, wyglądał tak cudacznie, że ci spośród członków załogi, którzy go zobaczyli, wybuchnęli śmiechem. Ubranie z szarego sukna, kamaszki—lakiery, szary cylinder, żółte rękawiczki, parasol i binokle na długim, sępim nosie, wszystko to wyglądałoby niezwyczajnie nawet w wielkim mieście, a cóż dopiero na tym pustkowiu!

Tylko sir Drydenowi nie było do śmiechu. A i Sępi Dziób miał poważną minę.

— Albo ten jegomość jest istotnie gońcem Juareza, albo cała ta historia jest pułapką, w którą zamierzają nas wciągnąć. Jeśli podejrzenie moje się sprawdzi, to nie można przewidzieć, jak się przygoda skończy.

— Co powinniśmy wtedy zrobić, master? — spytał lord.

— Stójcie na kotwicy, dopóki nie wrócę.

— A jeśli pan nie wróci?

— Poczekajcie do rana, po czym ostrożnie popłyńcie dalej. Tak czy inaczej znajdziecie Juareza. Ale, proszę, miejcie się na baczności. Jeśli mnie schwytają, to znaczy, że zamierzają ukraść nasz ładunek. Spróbują zatem napaść na was w nocy.

— Będziemy czuwać.

— Nabijcie armaty kartaczami, ale zróbcie to tak, aby z brzegu niczego nie zauważono. Dobrze, że działa są przykryte płótnem.

— A pan? Boję się o pana!

— Nie lękaj się, sir! Jeśli mnie nawet schwytają, ucieknę. I dotrę do Juareza.

— W jaki sposób?

Sępi Dziób swoim zwyczajem splunął na wodę.

— Oczywiście konno.

— Nie mając wierzchowca?

— Ja nie mam, ale oni tam na pewno mają koni pod dostatkiem. Zresztą, znam dobrze ten zakątek. Teraz jest jeszcze dosyć jasno. Zanim noc zapadnie, przedostanę się do prerii i o świcie, o ile tylko koń okaże się dobry, będę u Juareza.

— Żebym mógł wiedzieć, co się z panem stanie…

— Jeśli na mnie napadną na brzegu, stwierdzicie to na własne oczy, a o ucieczce was zawiadomię. Czy zna pan krzyk meksykańskiego sępa?

— Tak, bardzo dobrze.

— Otóż, pierwszy taki krzyk, a naśladuję go doskonale, będzie znaczył, że jestem wolny, drugi — że siedzę na koniu, a trzeci, że nic mi nie grozi. Kiedy zaś usłyszy pan z dala czwarty — to sygnał, że jestem w drodze do Juareza.

— Będziemy uważnie słuchać, master.

— Zatem przygoda może się rozpoczynać.

Sępi Dziób sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął tytoń do żucia i odgryzł, ile się dało.

— Ależ sir, lord nie żuje tytoniu — roześmiał się sternik.

— Phi! I lord przecież człowiek! Czemuż lordowie mieliby pozbawiać się najsubtelniejszej rozkoszy życia? Wszyscy lordowie żują, ale czynią to tak, że nie znać tego po nich.

Chwycił parasol pod pachę i wskoczył do czółna. Majtkowie zaczęli wiosłować w kierunku wybrzeża.